Nr. 3. Kraków, dnia 16 Stycznia 1909. ROK 1.



„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: :: :: **Przedpłatę** rocznie **9 kor.**, półrocznie **4 kor. 80 hal.**, ćwierćrocznie **2 kor. 40 hal.** — należy przesyłać na ręce **Administracji** „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. (biuro p. Hupczyca). — W ajencjach na prowincji prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 halerzy.**

Ogłoszenia: Od wiersza 1-łamowego petytem **30 hal.** Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro pana Marjana Hupczyca ul. Wiślna 2.
Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905.

W dniu otwarcia sejmu.

W chwili, gdy numer ten pójdzie na prasę drukarską, zbierze się Sejm, instytucya, która ma stać na straży dobra publicznego. Jak zwykle, tak i teraz patrzy społeczeństwo całe wyczekująco. Jak zwykle, tak i teraz wielkie czekają posłów naszych zadania. Jak zwykle, tak i teraz nad Izbą gromadzą się ciężkie chmury. A nawet cięższe, czarniejsze niż kiedykolwiek... Posłowie ruscy zapowiadają dalszy ciąg obstrukcyi, która znajdzie zapewne silniejszy wyraz przy obradach nad budżetem. Reforma wyborcza nowe zapewne wywoła starcia, rozogni umysły. Sprawa Rady Narodowej musi się wreszcie po długiej dyskusyi w dziennikach, rozstrzygnąć na terenie sejmowym. Również niezwykłe zaciekawienie budzi sprawa przedłożenia przez kierowników Koła Polskiego rachunków z zawartej z posłami ruskimi i z rządem ugody co do rozdziałów subwencyi hodowlanej na narodowości. Wreszcie dwie sprawy, choć bardzo przykre, będą musiały przyjść pod obrady: rabunkowa gospodarka posła Stapińskiego w Banku Parcelacyjnym, w tym banku, który szerokim kołom włościaństwa naszego obiecywał złote góry, a który w rezultacie byt tego włościaństwa poważnie zagroził, używając pieniędzy ich na cele partyjne ludowców; druga sprawa to projektowany Bank Przemysłowy, co do którego p. Marszałek krajowy i p. dr. Leo popełnili na własną rękę szachrajstwa z niemiecką „Niederösterreichische Escomptegesellschaft“, a z widomą krzywdą dla kraju. Sprawa jedna jak i druga dla winowajców będzie może niewymownie przykra, jednak Sejm stanąć tu winien na stanowisku na wskroś objektywnym, powodując się jedynie interesem kraju i społeczeństwa. Dwa wrzody, których operacyi Sejm będzie musiał się podjąć w imię zdrowia i dobra społeczeństwa. Tego spodziewamy się i żądamy od przedstawicieli narodu.

Nasze sprawy.

— *Namiestnik w obronie pruskiego przemysłu.* Do życzenia Berlina, wyrażonego za pośrednictwem ministra sprawiedliwości Hohenbergera, zastósowało się z zadziwiającą skwapliwością prezydyum

namiestnictwa, występując ze znaną w podobnych razach energią przeciw bojkotowi towarów pruskich u nas. Dowody tej energii znajdujemy już w dwóch horendalnych wprost wypadkach: 1) dozorowanie przez komisarza w pełnym mundurze pogadanki prof. Milewskiego we Lwowie o bojkocie towarów pruskich, 2) aresztowanie człowieka, noszącego we Lwowie tablicę o niemieckiem pochodzeniu obuwia „Salamandra“. Sprawa bojkotu prusaczyzny to sprawa dla kraju całego pierwszorzędnej wagi, mająca na celu uprzemysłowienie kraju przez wyzwolenie przemysłu polskiego z pod wpływu nam wrogiego. Wyrażamy nadzieję, że to pogwałcenie naszej swobody spotka się w Sejmie z energicznym protestem.

— *Sejmik relacyjny posła Germana.* W początkach b. m. p. German urządził w Nowym Targu sejmik relacyjny ze swej działalności poselskiej. W przeszło godzinnem swem przemówieniu przedstawił tłumnie zebranym wyborcom ogólną sytuacyę w parlamencie, stosunek Koła Polskiego do innych stronnictw, sprawę traktatów handlowych itd. Wywody szan. mówcy przyjęto z wielkiem zadowoleniem, o czem świadczy na wniosek prof. Dziedzica jednomyślnie uchwalona rezolucya: Zgromadzeni na sejmiku relacyjnym p. posła dra Germana obywatele miasta Nowego Targu dziękują mu za wydatną pracę poselską w Radzie państwa, wyrażają mu pełne wotum zaufania za zasługi koło miasta położone, przedewszystkiem za uzyskanie na gimnazyum subwencyi rządowej w kwocie 50.000 koron, ze szczególną zaś wdzięcznością przyjmują do wiadomości jego działalność w kierunku łagodzenia waśni partyjnych w Kole polskiem, obniżających wobec obcych powagę narodu polskiego i apelują do prasy polskiej wszystkich odcieni, aby zaniechała wzajemnych napaści na osoby i stronnictwa. Wychodzą bowiem z tego założenia, że wszyscy Polacy mimo przynależności do różnych stronnictw dążą do jednego celu: odrodzenia i podniesienia kraju i całego narodu polskiego“.

— *Węgiel w środkowej Galicyi.* Z Gorlic donoszą nam: W powiecie tutajszym, w miejscowości Rzepiennik Biskupi, odkryto gruby pokład węgla brunatnego. Według opinii inżynierów charlottenburskich, którzy przeprowadzali poszukiwania, mamy w środkowej części kraju niewyczerpane bogactwa węgla o znakomitym składzie chemicznym i wielkiej sile kaloryi.

— *Kalendarz Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego.* Nakładem P. T. E. wyszedł polsko-amerykański kalendarz na rok 1910. Jest to pierwsze i jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo, stanowiące niejako encyklopedyę ludową polskiego wychodźtwa. Oprócz mnóstwa praktycznych rad i wskazówek, niezbędnych dla każdego wychodzcy, zawiera Kalendarz P. T. E. obszerne artykuły informacyjne o widokach powodzenia dla wychodźców do Francyi, Danii, Szwecyi, Czech, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii i Argentyny. Nadto zawiera Kalendarz P. T. E. szereg artykułów historyczno-ekonomicznych, mapki wymienionych krajów, oraz kilkadziesiąt ilustracyi. Nizka cena, bo tylko 80 hal., powinna przyczynić się do rozpowszechnienia kalendarza w szerszych kołach inteligencyi i włościaństwa.

— *Żydzi w Wschodniej Galicyi.* Jak dalece żydzi stają się panami własności ziemskiej we Wschodniej Galicyi, dowodem następujące cyfry: Dopiero w r. 1868 pozwolono w Galicyi żydom nabywać ziemię. Zaledwie rok upłynął od chwili wejścia w życie ustawy, a już 38 wielkich majątków przeszło w ręce żydowskie; w dwa lata później było w ich posiadaniu 68 wielkich majątków, w roku 1873 — 289, w r. 1899 — 680; obecnie żydzi wykupili już 35 procent ziemi w Galicyi, a drugie tyle wzięli w dzierżawę, czyli połowa z góry wielkiej własności obecnie już jest w rękach żydowskich. Na 2000 wielkich majątków ziemskich w Galicyi 1100 znajduje się w rękach żydowskich, a po miastach i miasteczkach żydzi już objęli wszędzie 50 procent wszystkich parcel w swe posiadanie. To są przygnębiające cyfry, dotyczące wielkiej posiadłości i miast; cyfry, odnoszące się do małych własności, są jeszcze więcej zastraszające. W ciągu 18 lat, tj. od roku 1874—1892 przeszło w posiadanie żydów 43.000 małych ziemskich własności.

Jeżeli zważymy dalej, że co roku w Galicyi drogą publicznej licytacyi sprzedaje się 2600 gospodarstw, wtedy łatwo skonstatujemy, jak okropne niebezpieczeństwo grozi małej posiadłości ziemskiej. Wartość sprzedanych majątków waha się w 8—9 milionach koron rocznie; główną zaś przyczyną tych licytacyi są żydzi. W trzech latach 1894—1897 żydowscy lichwiarze sprzedali 2856 wiejskich gospodarstw, w 1547 wypadkach licytacyi zażądały banki żydowskie, Bank Krajowy tylko w 147 wypadkach, a urząd podatkowy w 319 wypadkach. Cyfry te wyjęte są z urzędowego spisu licytacyi, znajdującego się we Lwowie.



Porwana przez Tatarów.

Ja słyszę... * * * * *

Z Maryackiej wieży brzmi hejnał...

Miasto huczy wrzawą i wirem, mijają się tłumy, gonią pojazdy, okna wystawowe wołają do kupna, śmiechy przechodzących mieszają się z skargą płaczących i smutnych...

Ja słyszę jednak głos inny... daleki... potężny... Fale Wisły szemrzą cicho...

Nad brzegiem rzeki ruch i praca. Robotnicy wywożą piasek, flisacy wyładowują kamienie lub węgle, chłopcy bawią się rzucając kamieniami, ludzie wracają z targu, liczą, gwarzą, spieszą.

Ja słyszę jednak głos jeden, cichy smętny.

Z Zygmuntowskiej wieży rozlega się śpiew dzwonu. Życie miasta nie zatrzymuje się ani na chwilę... Z kominów dymy unoszą się jak brudne wstęgi... wozy naładowane cegłami jadą sypiąc kurz czerwony po ziemi, gwizdawki fabryczne huczą, lokomotywy sapią i spieszą dalej...

Ja słyszę jednak głos jeden, żałosny, posępny...

Od świtu do nocy tętno życia nie zatrzymuje się. Robotnicy spieszą do pracy, dzieci do szkoły, urzędnicy do biur, przemysłowcy i kupcy do zajęć, starsi jeszcze nie spoczęli, młodzi rwą się z zapałem i ogniem... czasu za mało, sił za mało, przestrzeni za mało... prędzej i prędzej...

Ja słyszę jednak głos jeden — posępny i groźny...

— Jest jedno co trwa...

Jadwiga S.

LAS GADA...

Wiecie co to dumanie?

A wiecie gdzie dumać najlepiej?

Gdyby jaki tyran duszy ludzkiej chciał wyrwać z serc i myśli wszystko marzenie, wszystką tęsknicę, gdyby chciał wzbronić wszelkiego rojenia, wszelkiej zadumy, musiałby przedewszystkiem wyciąć, wytrzebić, wykarczować wszystkie drzewa, od wierzby nadrzecznej do białowieskiej barci!

— I dopiero byłoby w duszach i na świecie głucho, bardziej głucho, niż bez ptasząt śpiewania, bardziej smutno, niż bez słońca i tak strasznie ciężko, jak kiedy się ostatnią łzę wypłacze! Byłoby jak wieczyste milczenie.

Bo nic w przyrodzie tak z człowiekiem i do człowieka w samotności, w trosce, w bólu zagadać nie potrafi, jak pierwsza lepsza drzewina, jak pierwszy lepszy borek, nic tak nie zagra do duszy, do serca, jak te harfy zielone!

A jeszcze u nas, na naszej ziemi!

Hej! hej! posłuchać jeno tej mowy, tego grania... bo drzewko ma swoją nutę! swój ton! swoje zawodzenie! swą śpiewkę...

Od onej lipy czarnoleskiej poczynając, od onego dębu gaduły, co kozackiemu wieszczowi śpiewał, do grusz polnych, co „za stodołą, za Maćkową, rozsiadły się między płową“, ile to gadek, baśni, powiadań!

A sosny z „mentalikiem“? a wierzba, „w której dziwna tkwi siła!“ a brzóski! a choćby „chłop z pradziada“, jałowiec! A cóż dopiero las, bór co Adamowe wieszczby kołysał? Hej!

— — — — — — — — — — — — — — —

Powiał w młodym maju wiaterek od pola, uderzył w ciemną ścianę drzew borowych, rozbudził, niby pogłowie ludzkie na procesyi...

Las gada... A każde drzewo po swojemu, niby inaczej, a wszystkie razem zajednako. I leci muzyka do serc ludzkich, jeno słuchać duszą! Każde drzewo mówi, każde inaczej, a wszystkie razem zajednako. Którego najmilej posłuchać — niewiadomo.

Na skraju lasu sosna staruszka. Obrazik Częstochowskiej na niej niby relikwiarz na piersiach matrony. I sama, jak matrona, spokojna, dumna, wiatr nią nie robi, jeno czasem konary szerzej rozchyli, jakby chciała objąć i przytulić wszystko dokoła.

Zda się, nie mówi nic, ale przyłóż ucho do pnia starego... Gra coś, dziwnie gra, jakby z duszy, jakby pod popękaną korą serce biło.

Gra... gdzie nie słychać, gra... wszędzie. Nie jedną gałąską, nie odziemkiem, nie igliwiem tylko. Cała sosna — jak harfa! Pień, odziemiek, konary, szyszki, igliwie, nawet te krople żywicy, co niby łzy, po pomarszczonej korze spływają, wszystko wraz jednem głosem woła. To smutnie, żałośnie, to znów jakby akordem wesela! A sosna stoi, nieporuszona, dumna — wielka pani! Wszystko w niej wielkie: i boleść, i radość, i smutki, i nadzieje. I wszystko w duszy na wewnątrz, nie dla obcego oka i ucha.

Wszystko w sobie, i dla siebie i swoich. Obok brzóska. Rozpuściła warkocze „niby wieśniaczka, niby matka, płacząca syna“... Bije od niej żałość straszna, ale już nie tak potężna spokojem.

Są nawet wesołe, bardzo wesołe brzóski, nikiej tanecznice! Tylko im grać od ucha! to, nikiej dziewka, świat jej karczma, wiater śpiewką, biała kora, kiej koszula, rozmamała się i... hula!“

U takiej i o łzy, i o wesele łatwo, podobnie jak u osiki. I w jej poszumie żałość jest, i smutek, ale jakby na pokaz. Trzęsie się to każdym listkiem z osobna, byle wiaterek ruszył, zawodzi, niby wdowa po stracie pierwszego, ale już jej się za drugim cni, i radaby płakać nie po jednym tylko. Byle się trafił i secundo, i tertio voto: zapłacze.

A oto świerk-orator. Wyrósł nad tłum słuchaczy i organ donośny ma i gest zamaszysty. Powiał wiatr. On machnął zieloną kiścią, niby ręką, drugą wziął się pod boki. Gada i gada... a wywija i wywija... Czasem z czuba i zielonej czapki uchyli! i gada, gada mądrze; o zieloności o nadziei.

Niejedno pamięta, bo już ze sto lat na świat ten ze swego uroczyska patrzy, to go posłuchać warto. Nagle i on urwał oracyę. Zamilkł, bo tam, od puszczy głębokiej, powiało jeszcze silniej, doleciał jakby rapsod rycerski z bardonu wieszcza... To dąb zagadał.

I mówił długo, słuchany w ciszy, jak dziad przez prawnuki. Mówił choć wicher wył coraz silniej... Mówił o latach przeżytych, przetrwanych.

I słuchały go w zamodleniu wszystkie drzewa, od płochej osiki do wyniosłej sosny, od krępego grabczaka do wielkiej wierzby nad strugą.

A tam na pustoci, na trzebieży, gdzie wicher dął zwałami piasku i kurzawą, stanęły chłopy jałowce zwartym szeregiem i zasłaniały zieloną piersią las gadający, aby zły wiatr nie zgłuszył rapsodu. Taka im już dola...

Warto czasem posłuchać tego drzew gadania. Nastroi duszę niezgorzej dobrego słowa dobrych ludzi. *Kazimierz Laskowski.*

Ostrożnie!

...Lubisz książki świeckie?
Ach! to są książki zbójeckie.
Młodości mojej niebo i tortury!..
One zwichnęły osadę mych skrzydeł..
Mickiewicz.

Ostrożnie z książkami!..

Tak powinno się wołać na rodziców i przypominać, by czuwali nad tem co młodzież czyta.

Książki stały się teraz w ręku wrogów naszych tajemną i ukrytą bronią, którą w nas godzą i którą nas zabijają.

Planowo układane wydawnictwa zagraniczne, tłumaczenia dzieł pewnych autorów o tendencyi dobrze ukrytej w treści na pozór obojętnej, to są książki „zbójeckie“, jak wołał Mickiewicz i one osadę skrzydeł naszych zwichnąć mogą raz na zawsze.

W literaturze najnowszej nastrój jest zbyt jaskrawy, ażeby ócz nie czerwienił blaskiem tych ogni, od których spalają się „przestarzałe“ zasady narodowe i od których w proch muszą padać ideały „zacofanych“ Polaków.

Teraz się idzie z książką jak z pałką zbójecką. Walić i burzyć w proch, w miazgę, w popiół, w próchno rozsypywać to wszystko, co jeszcze nie poszło „naprzód“, co jeszcze rumieni się wstydem i jeszcze liczy z sumieniem...

Teraz się w formie artystycznej mówi o tem, o czem najcenniejsze masy w kałużach się nurzające szepcą między sobą — teraz się w literaturę wprowadza takie czyny, od których zgnilizna wieje i zaraza się szerzy.

Teraz się jako hasło stawia zdanie Nitzschego, iż „należy uszanować zwierze w człowieku“, teraz się nie przypomina o obowiązkach ludzi, lecz woła się na nich: — zdobywajcie wszystko dla siebie!...

Teraz popularyzowanie wiedzy stało się drogą do szerzenia zepsucia, „uświadamianie“ ma być pomocniczą, siłą do tego wiodącą, ażeby wszystko



Powrót od ślubu.

co brudne i nikczemne zostało uznane za naturalne i potrzebne.

Od Sherloków Holmesów począwszy, które dzieciom są wciskane na każdym kroku, a skończywszy na owych arcydziełach t. zw. „młodej Polski“, których wydania idą w galopadzie niewstrzymanej niczem — literatura nowa zalewa nasze domy, czytelnie, biblioteki i wypożyczalnie, a nikt nie ma odwagi odezwać się śmiało i rzec: — dość tego!...

Rozwój literatury zależy nie od piszących, ale od czytających. Wstrzymajmy czytelnictwo rzeczy plugawych, trujących ducha narodowego, a wstrzymamy dżumę i zarazę mającą nas zabić. Lecz jakże to odezwać się i powiedzieć: — to szkaradne i brudne!... Zakrzyczą, zagłuszą, zatłumią, wyśmieją i rzekną: — Zacofani głosu nie mają!... Starzy niech milką!... młodzi świat biorą w ramiona!...

— My musimy pisać o najbrudniejszych rzeczach, ażeby do tych rzeczy zrazić, mówią jedni.

— My musimy odsłaniać najwstrętniejsze rany, ażeby o nich się społeczeństwo dowiedziało, rzekną drudzy.

Lecz czynią to w taki sposób i w takiej formie, iż zamiast wstrzymać, zachęcają do dalszego brudu i zamiast zniechęcić, wabią bardzo dowcipnie.

Nie jest rzeczą rodziców, wychowawców i opiekunów zakazywać tym lub owym „wielkim“ duszom natchnionych literatów pisać na temat zgnilizny i ohydy.

Ale jest obowiązkiem rodziców i wychowawców wyrazić swój sąd i zapatrywanie na książki zbójeckie, które jak hordy krwi chciwe wpadają w nasze życie i zabijają ducha w narodzie.

Co dzieci nasze czytają?... Czy my wiemy?...

Dzieci umieją pożyczać, czytać, oddawać, przynosić, odnosić, a my obojętnie na to patrzymy.

— Czy wstrzymam falę? pyta ta lub owa matka.

Ani obojętnością, ani zakazywaniem nie wstrzymamy. Trzeba znaleźć inną drogę... i w tem nasza wina wielka, gdy nie umiemy tej drogi wyszukać.

Gdybyśmy my jednak na każdym kroku wyrazić umieli pogardę tej literaturze, która jest najemnicą chuci i służebnicą wrogów, gdybyśmy starali się o to, ażeby młodzież nasza była zdolną odrzucić od siebie to, co nie odpowiada godności ludzkiej i narodowej, toby owa fala nie była groźna i mybyśmy na czołach plamy nie mieli. Książki zaiste mogą być zbójeckie i spustoszenie większe od zarazy przynieść mogą.

Ostrożnie zatem rodzice i wychowawcy!...

Nie myślmy, iż z przeczytaną i oddaną książką kończy się jej działanie.

Obyśmy nie za późno zrozumieli, czem są złe książki! *Jadwiga S.*

Krwawa karta.

Gdy przeglądamy dzienniki warszawskie z kilku ostatnich lat, wyznajemy szczerze, że serce nasze ból ściska serdeczny. Tyle krwi żywej spłynęło, wytoczonej ręką zbrodniarza! Od rozpoczęcia się owego po wojnie rosyjsko-japońskiej, ruchu rewolucyjnego, wywołanego i podsycanego przez socyalistów różnego autoramentu, nie było prawie dnia, w którymby kroniki warszawskie nie notowały bądź to wypadków śmiertelnych wynikłych z walki bratobójczej, bądź też napadów bandyckich i t. p. Wskutek tego nieszczęsnego ruchu rewolucyjnego, z nor ciemnych, z zaułków przedmiejskich wylały się wszelkie szumowiny społeczne na ulice i drogi wszelkie, i spowodowały straszne dzieło zniszczenia. Bandytyzm — oto krwawy owoc rewolucyi socyalistycznej w Królestwie Polskim. I aczkolwiek się rozmiary jego znacznie zmniejszyły, faktem jest, że istnieje po dziś dzień jeszcze.

Przekonywują nas o tym liczby, zebrane przez dr. Kazimierza Niedzielskiego z Warszawy. Oto według jego „*kroniki anarchistycznej*“ w r. 1909 poszkodowanych według zajęć, wyznania i wieku było 173 osób, a mianowicie: osób profesyi wolnej 28 (w tem zabitych 9); rzemieślników 26 (zab. 4.); robotników 43; (zab. 10); urzędników policyjnych 15 (zab. 6); żołnierzy 1; osób o zajęciu nieznanem 18 (zabitych 5); osób bez zajęcia 13 (zabitych 2); rabusiów i złodziei 29 (zabitych 16). Ogółem 173, w tem zabitych 52. — Według wyznań: katolików 128, prawosławnych 10, protestantów 3, żydów 24, religii nieznanej 8. — Według lat poszkodowanych do lat 15 byłu 10, od lat 16 do 20 — 30, od lat 21 do 30 — 75, od 31 do 40 — 28 i powyżej lat 40 było 30.

W tem poszkodowanych przez wojsko bądź urzędników policyjnych — osób 38; przez ludzi prywatnych — 135. Dodać należy, że z owych 38 zabitych bądź ranionych przez policyę 21 byli to złodzieje i rabusie z profesyi. Po uwzględnieniu szczegółowszem zajęcia osób poszkodowanych wypadnie, że ofiarami nieopanowanego dotąd jeszcze doszczętnie zamętu padło w Warszawie w ciągu



OCIEMNIAŁA.

roku zeszłego: 4 właścicieli domów, 6 kupców i fabrykantów (zabitych 2), 3 inżynierów i urzędników (zab. 2), 1 lekarz, 3 kasjerów (zab. 1), 1 subiekt (zabity), 4 majstrów fabrycznych i dozorców robót (zab. 2), 1 listonosz (zabity), 9 stróżów domów (zab. 1), 1 włościanin i t. d.

Wypadki *bandytyzmu* dosięgły 228 w samej tylko Warszawie. Wysokość sum zagrabionych, o ile wierzyć można zeznaniom ofiar, wynosi w gotówce 20,150 rb. 70 kop., nie licząc straconej biżuteryi, towaru, lub innych rzeczy wartościowych. Z bandytów zginął tylko jeden skutkiem oporu ze strony napadniętego. Schwytano rabusiów na gorącym uczynku 63.

Zajść zbiorowych na tle anarchii rewolucyjnej było 2 tylko, t. j. pierwsze w d. 28-ym września — napad na ul. Średnio-Młynarskiej i 30-go września — napad na składy kolei nadwiślańskiej, oraz wywiązana stąd strzelanina na ul. Wołowej. Ogółem ofiarą tych katastrof padło osób 9, z tych 5 trupem na miejscu.

Z wyroków okręgowego sądu wojennego, o ile z gazet wiadomo, powieszono w cytadeli warszawskiej osób 27. O liczbę tę należy zwiększyć zatem statystykę ofiar roku ubiegłego. Jeżeli do sumy powyższej dołączymy słynne z obfitości swej bójki na noże, których w Warszawie za ów czas było 390, liczba ogólna ofiar wzrośnie naówczas do 590, w tem — 80 zmarłych. Po dodaniu liczby tej do obliczonej ostatnio dla roku 1908 (5028), otrzymamy liczbę ostateczną — *5618 ofiar* zamieszek w samej Warszawie tylko.

Do powyższego wykazu dołączyć należy i statystykę *samobójstw*, pozostających w związku niewątpliwym z wypadkami lat ostatnich rewolucyjnych, zależnie od podniecenia umysłów i biedy. Ilościowo wypadki samobójstw rosną z roku na rok i gdy w r. 1908 dosięgły cyfry bardzo wysokiej, bo 326, w r. 1909 doszły do 399 (198 samobójców i 201 samobójczyń), w tem 70 zgonów na miejscu. Społeczna plaga ta dziś już nie oszczędza nikogo, godzą bowiem na życie własne i ludzie starzy, inteligencya i nieinteligencya, biedni i bogaci.

Rok ubiegły odznaczał się poza tem mnogością kar pieniężnych, nakładanych na wydawnictwa i pisma za przewinienia cenzuralno-prasowe, co znowu dowodzi, że czarna sotnia bierze górę w *rządzie* rosyjskim.

O wychowaniu dzieci zaniedbanych w Danii.

Jednem z najważniejszych zadań każdego społeczeństwa jest opieka nad zaniedbanymi dziećmi. Wiele to bowiem latorośli, które wzrastają w atmosferze życia występnego, przepada dla społeczeństwa raz na zawsze, powiększając szeregi zawodowych zbrodniarzy. A przecież dzieci tych licznych niestety wszędzie nędzarzy, po usunięciu ich od zgubnych wpływów otoczenia i czasowym umieszczeniu w specyalnie na ten cel ufundowanych zakładach, możnaby uratować od zatraty i wychować na ludzi uczciwych i pracowitych.

O podobnych zakładach pomyślała już dawno Dania, a dzieło to uwieńczone zostało przepięknym rezultatem. Poucza nas o tem jeden z profesorów niemieckich, który zakład taki w Danii osobiście zwiedził, i wrażenia odniesione w barwnym podał opisie.

Na dużej łodzi — pisze ów profesor — dwunastu chłopców mających 10—15 lat, w ładnym stroju wioślarskim, śpiewających wesołą piosnkę ku sławie Danii, podczas gdy przytem świeży, przyjemny wietrzyk powiewał, a promienie słońca błyszczały na falach zatoki morskiej — oto nastrój usposobiający do dumania. I dumaliśmy istotnie. Zdawało nam się, jakobyśmy zwiedzali nowy rodzaj zakładu wychowawczego, gdzie się wychowuje systematycznie według nowych zasad dzieci zamożniejszych warstw społeczeństwa. Krótko przedtem chłopcy mieli lekcyę szkolną, podczas której opowiadali o swojem życiu wśród lata i o swoich projektach na porę zimową. Przytem niektórzy pokazywali nam swoje zbiory rozmaitych kamieni, znalezionych na brzegu zatoki morskiej. Większa część chłopców miała herbarya, inni zajmowali się robotą snycerską albo plecieniem koszyków, aby je podarować na Gwiazdkę swoim krewnym.

O duchu rodzinnym, jaki tam panuje, świadczyły radosne okrzyki i wesołe powitanie 40 chłopców, otaczających nasz powóz, gdy przyjechaliśmy z ich przełożonym, który powrócił z kilkodniowej podróży. Po wspólnym obiedzie chłopcy z nauczycielami radzili nad tem, co gościom pokazać. Każdy chłopiec mógł spokojnie wypowiedzieć swoje zdanie. Ostatecznie zgodzono się na to, aby nam pokazać oddział wioślarski. Przy odgłosie piszczałek i bębnów ruszył oddział pod komendą, aby wstąpić na łódź, i chłopcy z promiejącemi radością oczami zaśpiewali piosnkę.



WIDOK Z TATR.

Musieliśmy się zbudzić energicznie z zadumy, aby sobie uprzytomnić, że to byli chłopcy oddani na przymusowe wychowanie. Przysłała ich tu duńska Rada opiekuńcza na pół roku, aby ich w zakładzie obserwowano a potem powierzono odpowiedniej rodzinie na wychowanie albo w naukę terminatorską. O tem ma zadecydować na podstawie owej obserwacyi wyższa Rada opiekuńcza

Zakład zbudowało w r. 1900 jedno z wielkich Towarzystw w Danii Od r. 1905, t. j. od czasu wydania nowej ustawy wychowawczej coraz więcej korzysta z tego zakładu wyższa Rada opiekuńcza. Szerokie, jasne okna zakładu całe zastawione kwiatami. Wewnętrzne urządzenie proste, ale miłe i bardzo gustowne. W szkole zbiory doskonałych środków naukowych, materyał poglądowy z życia zwierząt i roślin, aparaty chemiczne i fizykalne oraz zbiory geologiczne, założone wspólnie przez nauczycieli i uczniów. Z klasy szkolnej przeszliśmy do warsztatów sloejdu. Nauka sloejdu oznacza się tu systematycznością, podczas gdy domowe roboty rzemieślnicze, wyrabianie mioteł, szczotek, koszyków, narzędzi domowych ma na celu raczej jakieś przyjemne i swobodne zajęcie. Cały czas się dzieli na trzygodzinną naukę szkolną, sloejd, robotę domową, zabawę, przyczem jest wiele sposobności do obserwowania chłopców. Niedawno pomagali chłopcy przy budowie pralni i przy wewnętrznem jej urządzeniu. Zbudowali też pomost, sto metrów długi, do łodzi na zatoce morskiej. Co sobotę odbywa się obrachunek, aby wyznaczyć małą nagrodę pieniężną dla tych chłopców, którzy wykonali jakiś sprzęt dla zakładu. Z tych pieniędzy zakupują sobie chłopcy materyał surowy do wyrobów rękodzielniczych, przeznaczonych na podarki dla rodziców. Przy tej sposobności poznają wartość materyałów surowych.

W całem życiu uwydatnia się przyjaźń między nauczycielami a uczniami i wzajemna ufność. O ile to tylko możliwem, przyznaje się chłopcom największą swobodę. Zakład ma w nich wykształcić silną wolę do prowadzenia życia uczciwego, choćby i w najtrudniejszych warunkach. Podobnych zakładów jest w Danii kilkanaście. Pobyt w nich dla dzieci jest przyjemny. Wiele dzieci w Kopenhadze np. odwiedza rodziców w dni świąteczne; nadmienić tu bowiem należy, że duńska Rada opiekuńcza przy odbieraniu rodzicom dzieci nigdy nie używa przemocy, działając zawsze za zgodą ich.

W ten sposób Dania stała się jednym z nielicznych krajów, w którym liczba złoczyńców jest bardzo mała.

Koniec świata.

Pod koniec grudnia pojawiła się w prasie paryskiej sensacyjna wiadomość, przez jakiegoś „uczonego“ francuskiego podana, że niebawem ludzkość przygotowaną być powinna nie mniej, nie więcej jak tylko na... koniec świata. Wiadomość tę przekolportowano lotem błyskawicy do Królestwa, wywołując u jednych śmiech serdeczny, u innych zaś grozę. Tych „innych“, jak wogóle na całej kuli ziemskiej, tak samo i u nas — znalazło się bardzo wielu. Strach więc szerokooki zaciskał gardła i przybierał coraz to większe rozmiary. Aby tedy zaniepokojony ogół uspokoić pewien dziennik warszawski urządził wywiad ze znamienitym astronomem warszawskim, profesorem Gabryelem *Tołwińskim*. Oto, co astronom polski mówi o kometach i „końcu świata:“

Ciało komet różni się całkowicie od planet. Nie są one ciałami stałemi, lecz raczej zbiorowiskiem nieznacznej wielkości ciał, utrzymywanych w określonych granicach przez wzajemne przyciąganie i siłę odśrodkową. Dotyczy to naturalnie głowy komety. Warkocz zaś komety i kształt jego powstaje na skutek zbliżenia się do słońca. (Komety, znacznie oddalone od słońca, nie posiadają warkoczy). Działają tu: siła odpychająca i siła przyciągająca. Pierwsza powstaje wskutek wzajemnego, jednoimiennego naelektryzowania, druga zaś, wytwarzająca trzy typy warkoczy, na skutek przyciągania słońca, zależnego od części składowych, które wchodzą w skład wytwarzającego się warkocza. A więc: z wodoru proste, z węglowodorów nieco zakrzywione, z pary metali ciężkich silnie zakrzywione. Powyższe rozdzielenie na trzy rodzaje warkoczy komet, jest zasługą uczonego rosyjskiego Bredichina.

Sposób krążenia i drogi tych rzadkich ogoniastych gości są następujące: Przeważnie komety zjawiają się nieoczekiwanie i znikają w przestworzach niebieskich, aby nigdy nie powrócić. Jednakże, jeżeli któraś z komet w swej podróży tułaczej zbliży się nadto do którejś z wielkich planet lub do słońca, to ulega jej przyciąganiu i pozostaje na wieki niewolnikiem, otrzymując drogę prawie stałą, formy elipsy. Całość komety składa się: z punktu środkowego czyli jądra (głowy) mniej lub więcej błyszczącego; dokoła niego — biały obłoczek, wyciągnięty w długą smugę, czyli warkocz.

Najpiękniejsze i najwidoczniejsze komety ubiegłego stulecia były w r. 1811, 1843, 1858 (przedziwnej piękności kometa Donati), 1861, 1874,



WYMARSZ NA WOJNĘ.

1880, 1881, 1882. Kometa z r. 1843 była takiej jasności, że widać ją było w biały dzień koło słońca. Jak więc widać z powyższego, ostatni gość ogoniasty, napędzający tyle strachu ludziom, ukazał się w r. 1882.

Po 27-u więc latach zjawi się ponownie na firmamencie kometa o groźnym wyglądzie, jednakże na złość prorokom, tak, jak inne, zupełnie nieszkodliwa. Nowy ten „potwór“ nosi nazwę *komety Halleya.*

Kometa Halleya ukazuje się perjodycznie co 76 lat. Po raz pierwszy zaobserwowano ją w roku 1531. Następnie ukazała się w roku 1607, 1682. Przepowiedziano potem ukazanie się tej komety na rok 1758, jednakże opóźniła ona swe zjawienie się i przeszła przez punkt przysłoneczny (najbliższy słońca), dopiero 12 marca 1759 r. (opóźnienie takie wywołuje zbytnie zbliżenie się komety do któregoś z ciał niebieskich). Następnie zjawiła się ona w 1835, a w roku bieżącym oczekiwana jest w punkcie przysłonecznym dnia 20 kwietnia. Zjawienie się komety Halleya odkryte zostało przed 2 miesiącami, drogą fotograficzną, przez Wolffa w Heidelbergu. Dla spostrzeżeń bezpośrednio przez teleskop jeszcze nie jest należycie dostępna.

Na zapytanie zaś, czy są możliwe jakoweś zaburzenia w naszej atmosferze z powodu zetknięcia się ziemi z kometą Halleya i czy tego rodzaju zetknięcie jest możliwe, prof Tołwiński oświadczył, że gdyby zetknięcie się ziemi nastąpiło z samą głową komety, wtedy możnaby oczekiwać pewnego rodzaju zaburzeń, jednakże niezbyt zresztą groźnych, w tym jednak wypadku jest to *zupełnie wykluczone.* Co się zaś tyczy warkocza, to według ścisłych obliczeń, jeżeli będzie dłuższy nad 40.000.000 kilometrów, może dosięgnąć naszej planety. Nastąpiłoby to w końcu maja. Jednakże żadne z tego powodu nie grozi nam niebezpieczeństwo, skład chemiczny bowiem warkocza komety wskazuje na zupełny brak pierwiastków trujących, a rozrzedzenie gazów, z których składa się warkocz, jest tak kolosalne, że, jak się wyraził jeden z najpoważniejszych uczonych astronomów: gdyby zgęścić masę warkocza komety, to otrzymaną całość utrzymałoby małe dziecko w piąstce.

Dla tego też nie może być mowy ani o rozgrzaniu się naszej atmosfery, ani o szkodliwych związkach chemicznych, które wytworzyłyby się przy tem spotkaniu. Były już wypadki, że ziemia pozostawała przez kilka godzin w warkoczu komety. Zdarzyło się to mianowicie 26 marca 1819 r. i 30 czerwca 1861 r. A jednakże nikt na to nie zwrócił uwagi i dopiero w jakiś czas stwierdzili to astronomowie. Jeżeli więc podobny fakt zajdzie w tym roku, *to bez żadnego wpływu na stan fizyczny naszej kuli ziemskiej*, wyjąwszy, rzecz prosta — stanu psychicznego ciemnej ludności, która straszona przez nieuczciwych spekulantów, może w tym spotkaniu dopatrzeć się „Końca świata“.

TO I OWO.

10 przykazań dla ciała i ducha.

1. **Podział dnia!** Staraj się 8 godzin pracować, 8 spać, 8 zużytkować na rozrywkę i posiłek. Pracę, posiłek, sen i rozrywkę przeplataj umiejętnie, aby ci korzyść przyniosły.

2. **Praca!** Przyzwyczaj się do pracy zamłodu. Jeżeli na chleb zarabiasz pracą fizyczną, to rozrywki szukaj dla ducha i odwrotnie: jeżeli żyjesz z pracy umysłowej, to w wolnych chwilach uprawiaj zajęcia fizyczne. Rób wszystko z namysłem, celowo i dokładnie. W każdym zajęciu rób przerwy, gdy cię nużyć zaczyna — unikaj przepracowania.

3. **Posiłek!** Większą część pokarmów twoich powinny stanowić potrawy mączne, owoce i jarzyny, mniejszą zaś — pokarmy, pochodzące od zwierząt. Odpowiednia ilość tłuszczów, mleka, masła, sera, jaj, grochu, orzechów w zupełności może zastąpić mięso, jeżeli wyrzec się go masz ochotę. Nie jedz prędko i nie połykaj gorącego.

4. **Sen!** Chodź spać przed godziną 11-tą i wstawaj przed 7-ą. W sypialni nie powinno być duszno, ciasno i gorąco — nawet zimą.

5. **Rozrywka!** Rozrywką może być każde zajęcie, któremu poświęcamy się z upodobaniem; pozatym: muzyka, śpiew, taniec, czytanie, stosunki towarzyskie, gry, wycieczki, podróże, gimnastyka, szermierka, jazda na rowerze, wiosłowanie, pływanie itp. Żadnej rozrywki nie doprowadzaj do przesady i przesytu.

6. **Hartowanie się!** Zdrowie utrwalaj nietylko pracą, posiłkiem, snem i rozrywką: stosuj chłodną wodę do obmywania całego ciała, chodź boso, a nawet nago, jeżeli masz gdzie, zwłaszcza na



Marzenie.

słońcu; ubieraj się lekko i tylko do jazdy w zimniejszej porze roku — cieplej.

7. **Umiarkowanie we wszystkim!** Unikaj wszelkich nienormalności i nadużyć, tak w pracy, jak w jedzeniu, śnie i rozrywkach; unikaj długiego siedzenia na jednym miejscu, zwłaszcza w powietrzu zanieczyszczonym. Unikaj nadmiernych podniet umysłowych i zmysłowych, długich rozmów i sprzeczek o jedno w kółko! Nie pal, nie pij, ukrócaj namiętności!

8. **Odporność!** Nie poddawaj się przeciwnościom, ufając w siły nawet wtedy, gdy ci się zdaje, że cię zupełnie opuściły. Umyślnie wystaw się od czasu do czasu na cierpienia lub ciężary, a przekonasz się, że siły są i że pomnożyć je można!

9. **Kształć ducha!** Unikaj złych wpływów. Zasiej czyn, a uzbierasz nawyknienia, zasiej nawyknienia, a uzbierasz charakter! Bądź wytrwałym, samodzielnym, energicznym, obrotnym! Bądź w zgodzie z sumieniem!

10. **Żyj dla drugich!** W stosunku do świata i ludzi kieruj się wyrozumiałością, dobrocią, uczynnościu, poświęceniem, szczerością, taktem i pogodą! „Miej serce i patrzaj w serce!“

Ulepszenie smaku jaj.

Każdy rodzaj ptactwa znosi jaja nietylko rozmaitej wielkości, odmiennego wyglądu, ale i smak ich jest bardzo odmienny. Ale także ptaki tego samego gatunku i odmiany znoszą jaja o rozmaitym smaku i zapachu. Zmienność tę można uważać jako właściwość rasy a także, jako indywidualność. Co do jaj *kurzych,* które z natury rzeczy są dla nas najważniejsze, to różnią się one w smaku nie tylko od jaj kaczych. gęsich i t p., ale jest on zależny także od rasy, wieku, stanu zdrowia, od sposobu żywienia, utrzymywania i pielęgnowania. Objawia się to w mniejszym stopniu na białku, jak na żółtku. Delikatność smaku szczególnie daje się zauważyć po zgotowaniu ich na miękko, mniej zaś u jaj surowych. Jaja pochodzące od kur rasy francuskiej „Hondoras“ cenione bywają, jako najsmaczniejsze, poczem następują Hamburskie, Brahmaputra i Kochinchiny. Dobry stan zdrowia kur, jest głównym warunkiem produkcji jaj bez zarzutu. Jaja od kur wychudłych mają białko wodniste, bez żadnego smaku; młode kury znoszą mniej smaczne jaja, niż kury starsze, tak samo jaja pochodzące od kur bardzo nośnych są mniej dobre. Przez żywienie można wpływać na dobro jaj. Pokarm bogaty w azot podnosi wielkość i ciężkość i wartość pożywną zawartości jaja; pokarm tłusty działa wprost na zawartość tłuszczu a przytem na smak i aromat jaj. Dlatego też dobre nasiona olejne a przedewszystkiem ziarno słoneczników wpływa na produkcję jaj aromatycznych. Unikać jednak należy skarmiania wytłoków ziarn olejnych (makuchów), w których resztki pozostałej tłustości są zwykle zjełczałe. Nie przydatną karmą dla kur jest moczony ale spleśniały chleb, stęchłe zboże, gdyż nadaje to zły smak jajom. To samo stosuje się do nadpsutej mąki rybnej, do skarmiania wielkiej ilości ryb i chrząszczy. Kaczki, które wszystko możliwe pożerają, znoszą jaja często nie do użycia. Przy wyłącznem żywieniu kur zbożem, smak jaj jest mdły, a żółtko blade; żołędź sprawia cierpki posmak jaj. Pożywna, miękka pasza z gotowanych i pogniecionych kartofli i śrutu zbożowego, przytem zielenina z sałaty, szpinaku, koniczyny, młodej trawy, siekana pokrzywa, wreszcie dodatek ziarna jak jęczmień, owies, przenica, (kukurudza w większych dawach wstrzymuje nośność), oto jest sposób żywienia, który dostarczy nam jaj dobrych. Woda użyta za napój musi być czysta i bez zarzutu. Kury, które mają swobodny ruch i wiele robactwa i zieleniny zjadają, znoszą jaja o żółtkach pomarańczowych, tłuste i smaczne; podczas gdy kury mające mało ruchu a żywione głównie ziarnem, niosą jaja o bladem żółtku i niesmaczne, jednak i od tych ostatnich można mieć dobre jaja, gdy żywienie będzie odmienne i więcej urozmaicone. Ażeby uzyskać jaja aromatyczne i smaczne, niektórzy postępują tak, że przekładają jaja aromatycznymi przedmiotami jak np. świeżem sianem, prochem siennym albo roślinami woniejącemi. Jaja muszą jednak całkiem sucho być przechowane, gdyż w przeciwnym razie pleśnieją i łatwo ulegają zepsuciu. Jaja znoszone w nieczystych gniazdach albo stęchłej słomie nabierają wstrętnego zmaku i zapachu.

Rozwydrzenie kobiet amerykańskich

przechodzi już wszelkie granice, gdyż za lada błahym powodem rwą one węzły małżeńskie, zwłaszcza, że sądy tamtejsze najczęściej uwzględniają ich wybryki i rozwodu udzielają chętnie, jakby to była igraszka z najświętszych uczuć człowieka. Jedna z „wielkich dam“ grodu chicagoskiego wniosła podanie do sądu wyższego o rozwód od swego małżonka motywując swoje żądanie

faktem, że mąż więcej się bawi... swojemi kurami i końmi niż nią. Ale poza rozwodem żąda ona także, 150.00 dolarów miesięcznie alimentów, aby nie mając męża, mogła sobie żyć wesoło za jego pieniądze. Skarży się też biedaczka, że nieczuły mąż nie brał jej do teatru przynajmniej trzy razy tygodniowo i nie sprawiał jej sukien przynajmniej takich jakie mają miljonerki amerykańskie. Druga znów biada, że mąż nie chciał jej dać 300 dolarów na zakupno prezentów gwiazdkowych, będąc od niego silniejszą, wygrzmociła nieboraka a w dodatku żąda od niego rozwodu, naturalnie z wypłatą alimentów. Podobnych kobiet jest w Ameryce tysiące. Stosunki nie do pozazdroszczenia.

Kraj bez zwierząt domowych.

Krajem bez zwierząt domowych jest Japonia. Japończycy nie jedzą mięsa, ani nie piją mleka, a stąd też krowa w gospodarstwie domowem żadnej nie ma wartości. Japończycy nie jeżdżą też konno: wozy ich na dwóch kółkach ciągną ludzie a najemnicy dźwigają ich tobołki.

Niema tam też osłów, mułów, ani innych zwierząt jucznych. Psy są wprawdzie w kraju w znacznej ilości, ale w stanie dzikim jedynie. Japończyk nie oswaja psa, nie potrzebuje go bowiem do polowania ani też do stróżowania domowego. Pies oswojony, jeżeli się napotką w Japonii, należy niewątpliwie do cudzoziemca. Owiec, kóz i świń Japończycy nie hodują zgoła; wełnę, którąby dostarczać im mogły barany, zastępują jedwabiem, tam nader tanim. W gospodarstwach japońskich rzadko widzieć można kury, a rzadziej jeszcze kaczki i gołębie; hodują je tam na potrzeby cudzoziemców. Niektórzy właściciele w okolicach Teddo utrzymują woły, ale bynajmniej w celach gospodarstwa wiejskiego, lecz jako zwierzęta, które ciągną wozy pogrzebowe członków rodziny mikada i innych dygnitarzy.

„Strachy“ w gorzelni.

Pod miasteczkiem Chodecz w pow. włocławskim przy szosie stoi pustką budynek po gorzelni. Budynek ten wybrali sobie jacyś ludzie, zdaje się, przemytnicy, na skład kontrabandy. Aby zabezpieczyć się przed okiem ciekawych, obmyślili stary sposób, znany nawet w operetkach.

Oto, od pewnego czasu w gorzelni o północy, skoro tylko pierwszy kur zapieje, ukazują się światła, słychać złowrogi brzęk łańcuchów, widać zdala jakieś cienie duchów itp. Rozumie się fantazya ludu dodaje tu moc jaskrawych kolorów, przesąd co do dusz pokutujących robi swoje, więc w okolicy aż wre i wszyscy z daleka omijają miejsce, będące w rękach duchów piekielnych. Na dobitek służba folwarczna opuściła miejsce „nawiedzione“.

Wiara więc w „strachy“ wśród ludu naszego kwitnie, jak za dobrych, dawnych czasów.

Katastrofa na Marsie.

Od dłuższego czasu Mars jest widownią ciągłych zmian noszących charakter katastrofy. Już od kilku lat zachodzi ciekawe zgięcie biegunów; również zagadkowa jest ustawiczna zmiana konturów t. zw. jeziora słonecznego, plamy mniej więcej wielkości Francyi, otoczonej licznemi kanałami. Plama ta raz okrągła, to owalna dwoi się i troi, równomiernie zmieniają się także kanały. Zdaniem francuskiego astronoma Flammariona dowodzi to zresztą nie bliskiego zamarcia planety, lecz owszem wybitnej jego żywotności.

Złote ziarna.

(Przysłowia hiszpańskie).

Każdy zły człowiek swoją złą godzinę mieć będzie.

Kto o niczem nie wątpi, nic nie wie.

Gdy nieszczęście zasypia, nie budź go.

Pszczoła wszystko w miód, pająk wszystko w truciznę zamienia.

Kto wszystko obiecuje nie dotrzymuje.

Bądź niemy, gdy dałeś
Gadaj, gdy odebrałeś.

Uciekaj na chwilę przed rozgniewanym
Przed skrytym na zawsze.

Nie służ temu, który służył,
Nie proś tego, który prosił.

Dzielmy się bracia. Moje dla mnie, twoje dla nas obydwóch.

DLA DZIECI.

Zgoda w rodzinie.

Jakież to piękne rodzinne życie,
Kiedy z dziecięciem zgadza się dziecię;
Gdy wszyscy żyją w zgodzie, jedności,
Nie słychać kłótni, nie słychać złości,
Jedno drugiemu chętnie ustąpi,
Jedno drugiemu pieszczot nie skąpi,
Jedno drugiemu na pomoc spieszy,
I jedno drugie w smutku pocieszy!
Rodzice patrząc na taką zgodę,
Za swą troskliwość mają nagrodę;
Bo cóż milszego: jak gdy dziecinie
Wcześnie się dobre w sercu rozwinie?

Stanisław Jachowicz.

Piosnka.

I gdzieindziej żyją ludzie,
Mają wsie i miasta,
I gdzieindziej między ludźmi
Chwała Boża wzrasta;
I gdzieindziej pięknie, ładnie,
Słonko jasno płonie,
Ale dla mnie już najładniej
Tu w rodzinnej stronie.
Niech kto sobie gdzie chce leci,
Hen! poza granicę
Ja zostanę między swemi
Na calutkie życie.

W. Chojecki.

Hela i kurki.

Hej, kureczki, hej! kogutki,
Spieszcie, spieszcie do Helutki,
Dam wam ziarnek i bułeczki,
Cip, cip, moje kochaneczki.
Leci cała już gromadka,
A na cele kto? czubatka!
Ona zawsze w pierwszym rzędzie,
Czy w podwórzu, czy na grzędzie.
Dalej, dalej, szybko jedzcie,
Czy nie dobre, co? powiedzcie!
No, pewno wam dosyć dałam,
Cały koszyk wysypałam.
Patrzcie, zjadły już śniadanie,
I dziękują teraz za nie,
Wszystkie razem w swym języku:
Ko, ko, ko-ko — Kukuryku!

Skrucha Józi.

Co to Józia tam zrobiła,
Że się tak za drzewo skryła,
I oczki się podnieść wstydzi?
Myśli, że jej nikt nie widzi!

Wiem ja, wiem, co to za sprawa;
Panna była zbyt ciekawa,
Co tam mieści słoik który,
I wyjadła konfitury!

Ach! jak brzydko! jak nieładnie!
Jak na sercu jej niemiło!
Każdy teraz ją zagadnie:
Panno Józiu! jak to było?

Nikt nie widział. Prawda, ale
Czyż nie zdradzą oczki, buzia?
Każdy pozna doskonale:
Konfitury zjadła Józia.

Nawet Filuś.. Boże drogi!
Ten rozszczeka w całym domu,
Filuś, Filuś! Tu do nogi!
Jak tu w oczy spojrzeć komu?

Wiem już! Pójdę do mamusi,
Powiem wszystko szczerze, pięknie,
Mama mi przebaczyć musi,
Bo mi serce z żalu pęknie.

Marya Konopnicka.

Marzenia dziewczęcia.

Biała pajęczyna
Ścierniska okryła;
Oj, żebym ja prędko
Szyć się nauczyła.

Wyszyłabym sobie
Bieluchną chusteczkę,
Braciszkowi memu
Śliczną koszuleczkę.

Nosiłby braciszek
Piękną tę koszulkę,
Modliłby się ze mną
Za naszą matulkę,

Że mnie tak młodziuchno
Szyć już nauczyła,
Żem mu koszuleczkę
Tak pięknie uszyła.

Teofil Lenartowicz

NR 3

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem Staszek biegł ze dworu do chatynki za ogrodem, do matusi, wdowy młynarzowej. On ją tylko jednę chciał pożegnać... na świecie nie miał więcej nikogo a gdy zobaczył ją w progu, na sercu mdło mu się zrobiło. A! bodaj to te wiosny! tych ludzi!

Matuś była blada i nędzna.. chora, kaszląca, a nie miała na bożym świecie nikogo krom jego jednego.

Podszedł ku niej kręcąc w palcach słomkę ze spuszczonemi oczyma.

— Matuś kochana, może ja z paniczem gdzie pojadę... coś mi się widzi, że on się wybiera, a jušci mnie weźmie, bo choćby nie brał to go nie opuszczę. Przyszedłem was pożegnać...

— A! panicz jedzie! dokądże? — spytała wdowa z trwogą.

— Albo to mnie wiedzieć — rzekł Stach, który choć wychowany po szkolnemu, z matką mówił jak prostaczek. — Teraz po świecie straszne się rzeczy dzieją... kto wie dokąd... a no — wojna!

— A! juścić nie na wojnę!

— Kto tam wiedzieć może.

Matka w milczeniu płakać zaczęła.

— Czy wiedzą o tem we dworze? — spytała.

— Ale nie, uchował Boże.

Stara zarzuciła mu ręce na szyję, a w duszy myślała.

— Trzeba pójść matce oznajmić o tem co się święci, i ona ma jego jednego.

Serce jej biło; płacząc poszła wyjmować z węzełków co miała, aby oddać synowi, ale Stach nic przyjąć nie chciał.

— Wam się to tu zda, a mnie panicz z głodu nie da zdychać.

Przyjął tylko przyklęknąwszy medalik z Matką Boską Kalwaryjską.

Siedzieli długo z sobą, a coraz matka mu na szyję się rzuciła i ściskała i płakała.

Potem Staszek zerwał się, padł do nóg, zapłakał i uciekł, bo musiał wrócić do dworu.

Ledwie znikł za drzewami, a stara płachtę zarzuciła na ramiona i leciała już do dworu. A stanąwszy w izbie kobiecej, kręciła się biedna jak tu dostąpić do Jejmości.

Wpadła do sypialni ukradkiem, ulękła, drżąca i do nóg Jejmości.

— Moja matko, moja dobrodziejko, straszne się tu rzeczy knują... bodajżeby nam panicz ze Staszkiem nie uciekli. Mój mi się przyszedł dziś, oto przed chwilą żegnać. Jużcić nie mogłam tego przenieść żeby nie przyjść a mojej dobrodziejce nie oznajmić.

Spojrzała jej w twarz, siedziała pani wstrzymując płacz, nie śmiejąc zapłakać. Była matką ale Polką i córką tych, co ginęli wszyscy od szabli, kuli lub w pętach tatarskich.

Matka płakać chciała, Polka serce niosła wysoko; czuła że w godzinie ofiary nie powinna była osłabnąć.

— Przywiduje ci się i twemu Staszkowi, młynarzowa moja — rzekła powoli — Karol dla nas niema tajemnic; bądźcie spokojną.

— Pewnie? — spytała kobieta.

— Bądźcie spokojną — dodała pani Jakubowa. — Bóg łaskaw a co on poda do serca człowiekowi, i co się czyni z modlitwą i krzyżem... złe być nie może, nie sprowadzi nigdy nieszczęścia.

Potem łzy się puściły obu, pani już mówić nie mogła... rozeszły się przybite, smętne, ale w duszy spokojniejsze.

Karolek błądził po dworze jak dusza czyscowa, wszystko mu teraz inaczej w oczach stawało... żegnał ludzi, miejsca, sprzęty, przecież nie uległ żalowi...

Do izby pułkownika, który modlił się siedząc w oknie, wszedł Poremba i chrząkając stanął w progu. Nie była to jego godzina, wkradł się jakoś cicho i ostrożnie, pułkownik nań spojrzał, dokończył Zdrowaśki.

— Cóż tam, mój stary?

— Czołem pułkownikowi.

— Masz jaką potrzebę?

— Nie... tak — słóweczko.

— Bez ogródki, mój stary co ci potrzeba, mów.

— Mnie nic, ale są święte obowiązki, nie darmo się wasz chleb je; trzeba, żebyście w czas wiedzieli co się święci. Ot, boję się, żeby Karolek nie uszedł, kipi strasznie i coś bardzo do konia dziś latał...

— Hę? co? — zapytał stary — przyśniwa ci się.

— Lękam się żeby to nie było prawdą.

— A ja nie, dziecko karne, toby się tak nie wykradało — rzekł pułkownik.

— Ale w takiej sprawie?

— W jakiej sprawie?

— Gdzie o ojczyznę idzie! to jest sprawa nad wszelkie względy! Któż to z nas z domu nie uciekł na wojnę!

— Prawda — rzekł pułkownik — ale po co ma uciekać? wie że mu tego nie wzbronią gdy przyjdzie czas.

— Ale z pozwoleniem pułkownika dzieciak, to mu się łeb pali... nie wytrzyma. Mam poszlaki przygotowań pewnych.

— O! o!...

Pułkownik głową potrząsł i zamilkł.

— No, no — rzekł po chwili — wola Boża, bądź spokojny Poremba, Bóg zapłaci za twą przyjaźń, ale... nie! Już ja ci powiadam, — nie.

— Jakto nie? — spytał stary.

— A no, mówię ci nie?

— Nie to nie! — kłaniając się powtórzył Poremba.

— Wiecie tam co o Moskwie? — przerwał pułkownik — gdzie się to paskudztwo obraca?

— A no, wszędzie się tego snuje dosyć, dziś tu, jutro tam, aby kraj obejść.

Stary się zadumał.

Poremba stał u drzwi, chrząknął znów by na siebie zwrócić uwagę.

— Spełniło się, co obowiązek kazał — rzekł — przepraszam pułkownika — więc pokłon i z powrotem.

— Dziękuję ci serdecznie — dodał dziadek — Bóg zapłać. Ja to choć siedzę w kącie, widzę ztąd wiele, ale niema nic, wierzaj mi, nic..

Gdy wyszedł Poremba, pułkownik znowu się począł modlić i posmutniał.

— Jednak — myślał — z rodu naszego ostatni... ale, tem większa ofiara a ojczyzna też jedna i jedynaczka!

Co Bóg przeznaczył niech się stanie.. tylko go bez saracenki nie puszczę...

Ale jak mu ją tu dać? Jak mu dać...

Zadzwonił, zmierzchało, wszedł chłopak ze świecami pod umbrelką i w progu rzekł jak to był obyczaj gdy wnoszono światło, na pamiątkę Chrystusa, który światło przyniósł na ziemię.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki.

— Gdzie panicz, Karolek?

— Jest pono w pokoju.

— To mi go tu poproś.

W chwilę otwarły się drzwi i wszedł Karol blady, trochę zmięszany. Stary nań popatrzał.

— Gdzieżeś to waszeć bywał, com ja cię tak długo nie widział?

— Nieśmiałem dziadkowi przeszkadzać.

— Albo to ty nie wiesz moich godzin?

— Słuchajno — dorzucił po chwili namysłu — a jam cię tu właśnie potrzebował. Wszak to tu od ogrodu jak się drzewa rozrosły, wilgoć się zakrada do mnie; trzebaby mi broń poczyścić i oliwą trochę potrzeć, bo już się plamki od rdzy pokazują.

— Rdza? tutaj? — spytał Karol.

— Tak, i co najgorzej — jeszcze mi gotowa do Saracenki się dobrać, bo tu wisi na ścianie, a w tej ścianie wilgoć, już się boję o nią.

Karol pokraśniał, serce mu uderzyło, spojrzał, wisiała staruszka na swem miejscu.

— Ja to sobie myślałem — począł pułkownik — że jużby ci może ją powierzyć czas, ale mi tu na ścianie dziurę zrobi, oczy nawykły patrzeć. Jakąż ty masz szablę!

— A starą tę co od dziada!

— E! kujawiaczkę! prawda! dobra, dobra, ale zawsze to nie Saracenka! nie! — dodał zdejmując powoli relikwią. — To, mospanie, klejnot, nie wiem wiele pokoleń Plutów ją nosiło, nie jedna ją kropla krwi pogańskiej odżywiła. Tę szablę z życiem się chyba oddaje.

— Słuchaj Karol — rzekł po namyśle — przynieś no mi tamtę kujawiaczkę, zobaczę, może i pohandlujemy, bo się tej rdzy boję.

Karol, jakby go rzuciło, poleciał, i w mgnieniu oka z ową swoją powrócił. Stary ją dobył, popatrzał, świsnął.

— Dobra, składna — rzekł — ale zawsze to nie Saracenka, utrzymana porządnie, czysto, lubię tak! No, no! to ci może pora i najdroższą... pożyczyć.

Karolowi serce biło, mało się nie wyrwało z piersi, załamał dłonie i padł na kolana przed dziadem.

Pułkownik zwolna podniósł do góry uświęconą szablicę ojców, wyjął ją z pochwy, krzyż na niej wyryty pocałował i szepnął z cicha...

— Pro Deo et patria! (Dla Boga i Ojczyzny).

Łza mu padła na żelezce, ale ją starł prędko rękawem.

Karol klęczał... duchem się modlił, była to chwila uroczysta.

Płazem z lekka dotknął go po ramieniu pułkownik...

— Noś ją — rzekł wzruszony — na obronę praw Bożych i naszych... Wielkie to są słowa za Boga i Ojczyznę... widzisz, że ojczyzna nie stoi tu sama, ale pod opieką Bożą. Znaczy to, Karolu kochany, że kto o Bogu zapomni i o prawach jego, ten ojczyzny nie godzien. Noś ją na obronę wiary i kraju... dobądź za uciśnionych, w obronie słabych, za prawdę... a nie oddaj jej, chyba z życiem... W imie Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen. Błogosławieństwo Abrahama i Jakuba niech będą nad tobą...

Daj — ja ci ją sam przypaszę. — Staremu ręce się trzęsły, ale spiął rapcie na Karolu, który padłszy do stóp jego, całował mu nogi. Zdało mu się to snem, cudem... widział już w wyprawie swej wolę Bożą.

— A teraz — rzekł, ręką trąc czoło stary — idź, Saracenkę odnieś, swoją mi tu powieś i nikomu o tem nic... rozumiesz, bom ci ją... pożyczył!

Co się działo z chłopakiem, nikt nie wypowie, dla niego były to cuda. Szablę, szablę tę, o której marzył dostać tego wieczora... gdy o północy miał się puścić w drogę — nie byłże to cud prawdziwy?

Powracał rozmarzony do dworu, gdy dzwonek na wieczerzę wołający dał się słyszeć.

Dziaduś rzadko lub prawie nigdy na wieczerzę nie chadzał, bo jej też nie jadał, już mu bowiem na sen szkodziła.

Bywały jednak dnie, że się przywlókł dla gawędy, a wówczas przysuwano szerokie krzesło, skórą obite i miejsca swego ustępowała mu pani Jakubowa, czasem pół kieliszka wina wypił i chleba zakąsił. A była to wielka uczta dla wszystkich, gdy się stary pokazał, słuchano go pilnie, bo mówił o dawnych czasach. Miło było siwą jego brodę widzieć przy tym stole.

Otóż i tego dnia cudów, gdy zadzwoniono na wieczerzę, pułkownik też zadzwonił i kazał się do stołowej sali przeprowadzić.

Powoli już się tu cały dwór zbierał. Był i Bernardyn kapelan i stary ubogi szlachcic podróżny, wołokita, co nigdy nie mijał Skały, przyszedł z nim Poremba, zwlekli się garbus i Krzywaczyński i panna Kunegunda, nadeszła wreszcie Jejmość z Ewusią i pan Jakub o kiju z ekonomem razem.

Stół był długi, skromnie zastawny. Nim zasiedli, stali wszyscy przy swych miejscach, a bernardyn modlitwę odmawiał, chleb wieczorny błogosławiąc. Półkownik zwykłe swe miejsce zajął w końcu stoła, dalej przy nim pan Jakub, Jakubowa, za nią Ewusia, przy ojcu Karol, tuż rzędem mężczyźni i kobiety, każdy wedle wieku i znaczenia.

Kapelan wedle reguły zakonów św. Franciszka przez pokorę zajął ostatnie miejsce od szarego końca.

Dzień to był, jakich mnogo w roku, nic uroczystego nie odznaczało go, przecież czuli wszyscy,

że ta chwila jakąś świętszą, stanowczą, ubłogosławioną była.

Twarze oblekła powaga i smutek spokojny, chylący się pod dłonią Bożą, usta się otworzyć nie śmiały, długie milczenie trwało po modlitwie. Obcy tylko szlachcic, pierwszy począł mówić o konfederacyi i konfederatach. Słuchano go wśród ciszy, Poremba czasem słowo wrzucił, Bernardyn drugie... rozmowa nie szła.

Coś wionęło po wszystkich, jakby dziwnym duchem tęsknoty...

Gdybyś im w oczy popatrzył, to choć usta się śmiały, tu i owdzie łza powieki wilżyła, ale zakręciła się i wypłynąć nie śmiała... zgorzała w oku...

Usta drgały.

Ojciec spoglądał na syna a obawiał się, ażeby jego wzroku nie dośledził, matka go jadła oczyma, bała się, żeby tego nie dostrzegł, niespokojnym wzrokiem mierzył go Poremba. Tylko dziad raźny, wesół nalawszy kieliszek wina odezwał się do przybyłego szlachcica.

— Mój Mospanie, a co? wypićby może za zdrowie i sukces sług Matki Boskiej, panów konfederatów. Ale między nami... po cichu... Błogosławieństwo Boże niech będzie z nimi i z dobrą sprawą.

Bernardyn dodał po cichu:

— Fiat! fiat!

Szlachcic wstał, pokłonił się i duszkiem wychyliwszy kieliszek na dłoń przechylił, że kropli nie zostawił.

— O temby dużo mówić nie trzeba — dodał pułkownik — ani co się dzieje ani gdzie, bo źli i głupi uszy mają, drudzy i języki długie, a wojna nie cierpi zbytniego paplania. Nie tyle zdradą co płochością ludzie giną... Bogu ich polecić i — sza!

Obnoszono potrawy, mało kto je tknął, patrzali się wszyscy, udawali, że jedzą, tylko Poremba, Krzywaczyński, szlachcic podróżny i Bernardyn dotrzymali placu. Matka ledwie chleb złamała, w usta jej nie szło...

— Siedzimy coś jak mruki! — odezwał się pułkownik — choćby nie o konfederatach, byłoby o czem pogadać. Tak, nic potem.

Ponieważem się tu do was zwlókł, wypiję jeszcze kroplę za wasze zdrowie i powodzenie.

Spojrzał zdala na Karola i ustami dotknął kieliszka.

Syn i synowa w rękę go pocałowała, zatem wieczerza zbliżyła się do końca. Staruszek posunął krzesłem, Bernardyn wstał i począł modlitwę dziękczynną odmawiać... Wszyscy poszli ucałować rękę gospodyni, ścisnąć dłoń gospodarza. Gdy Karol przystąpił do matki, uczuł jakby jej ręka drżała... mimowolnie schyliła się, dotknęła usty czoła jego.

Zwykle po krótkiej chwili rozchodzili się wszyscy.

Karol uczuł zbliżającą się godzinę uroczystą rozstania, na jak długo? nie wiedział. Może na życie całe! wzruszony niespokojny, to na rodziców, to na dziada, to na Ewusię spoglądał.

Czuć było jeszcze we wszystkich dziwny smutek i tęskne jakieś usposobienie, bolesne; twarze oblokła powaga uroczysta, czoła były posępne, cisza jakby anioł przeleciał, towarzyszyła tej chwili.

Dobranoc szedł Karol oddawać każdemu z osobna, tym razem dziadek kazał mu się jeszcze odprowadzić do swego pokoju.

— Chodźże no waść ze mną! — rzekł.

A gdy wstąpili na próg komnaty i stary siadł w krześle, popatrzał nań długo.

— Przypomniałem sobie — rzekł — jeszcze ci się coś do Saracenki należy... kto ją nosił ten brał i ryngraf z Matką Boską. Zdejmże go sobie i powieś tymczasem nad łóżkiem.

To mówiąc ścisnął go dziad za głowę, wskazał na ścianę i rzekł poważnie.

— Dobranoc chłopcze — dobranoc.

A dopiero gdy się za nim drzwi zamknęły, pułkownik łzę otarłszy krzyż pański za nim posłał.

Nie byłoż to wszystko cudem? Karolowi w głowie się plątało, serce mocniej coraz biło.

Poszedł do matki, ale ta słowa wymówić nie mogła, aby się nie rozpłakać. Gdy ją w ręce całował przycisnęła głowę do piersi, a sama, gdy się drzwi zamknęły, poszła wprost do klęcznika. Z drugiego pokoju widać było z zauchylonych podwojów bladą twarz Ewusi. Karol skinął jej głową i ręką i tak pożegnali się milczący.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Maleńka blada twarzyczka, ostry nosek, wąziuchne usta, fizyognomia nic nie znacząca ale trochę nadęta — wąsik chudy i głowa wcześnie nadłysiała, krótko ostrzyżona — mimo młodości nie czyniły go wcale ani pięknym ani miłym. Coś ostrego, szorstkiego przebijało się przez przesadnie grzeczne ruchy pana barona, który jak widać było ze szlif, piastował już wysoką godność oberlejtnanta... Z nadskakującą uniżonością i przesadnemi ukłonami powitawszy kobiety, uścisnąwszy rękę radzcy — zwrócił się przybyły z objawem nadzwyczajnej czułości ku ocalonemu burszowi, winszując mu, iż go Szprewa nie połknęła. Czy powinszowania te były szczere — i czy baron nie pomyślał dowiedziawszy się o wypadku, o ileby to powiększyło posag panny, za to ręczyć nie podobna.

Helmina zaledwie spojrzawszy na barona, siadła z dala na krześle z miną zrezygnowaną i obojętną. Radzca żywo począł opowiadać, matka jak zwykle milczała.

Nieprzyjemnie tknęło to bursza, iż baron przy pierwszej wzmiance o pochodzeniu polskiem wybawiciela bryznął zużytym sarkazmem na Polaków. Wszyscy zmilczeli, Hänschen usta wydął i wąsika pokręcił, baron poczuł może niewłaściwość tego wybryku i zwrócił rozmowę.

— Szanowny panie Janie — odezwał się, niech to wam przypomni, że jako szlachcic...

Stary Riebe nadął się przyjemnie, uczyniło mu to sensacyą niewypowiedzianie miłą.

— Jako szlachcic — kończył baron — powinieneś umieć pływać, konno jeździć i bić się... doskonale. Sport wszelki szlachecka rzecz.

— O! bić się — odparł Hänschen, uśmiechając się i gładząc po twarzy, na której miał już szram od rapira — bić nie powstydzę.

— Anglicy nawet boksować się uczą — pierwszych familii — zawołał baron.

— O! pierwszych familii — podchwycił Riebe — to już ekscentryczność (omylił się, syn nań spojrzał groźno i jak winowajca umilkł).

— Tak jest, ciągnął baron... A! nie ma jak angielska szlachta! Wzór dla nas wszystkich.

Radzca westchnął czując, jak dlań wzór ten był niedościgniony.

Baron, który widocznie chciał zawsze okazywać, iż go tu sprowadziła panna, zwrócił się wdzięcząc i uśmiechając do niej.

— Na pani też musiało to uczynić okropne wrażenie.

— Tak, — cicho rzekła Helmina — pojmie to tylko, kto jak ja kocha jedynego brata...

— Zazdroszczę wybawcy — odezwał się baron — wdzięczności, na jaką sobie u pani zarobił...

— Opłaca ją teraz chorobą — odpowiedziała Helmina.

— I nie widzieli go państwo? — zapytał baron.

— Ja u niego byłem — rzekł radzca.

— I ja — dodał Hänschen.

— A ma to być, słyszę, akademik jak pan — mówił oficer — i pewno znajomy.

— Nigdym go w życiu nie widział a on nie wiedział też, kogo ratuje, rzucił się, spostrzegłszy tonącego człowieka.

— Przepysznie! — zawołał z przekąsem baron i zamilkł a po chwili dodał:

— Należy mu się medal za ocalenie życia — nie wiem, na jakiej wstążce się on nosi — ale że jest, to pewna.

Radzca to żywo podchwycił.

— A tak! w istocie na myśl mi to nie przyszło! doskonałą uwagę uczynił pan baron... powinienem mu się o medal postarać, to go uszczęśliwi... Będzie go mógł nosić... Nie prawdaż!

Oficer odpowiedział potwierdzająco. Radzcy twarz się rozjaśniła — mógł się więc postarać o medal i w ten sposób świetnie zrewanżować, bo rewanż ów nie wychodził mu z myśli... Twarz studenta milczącego dowodziła, że nie chcąc się przy orderowanym ojcu i orderowanym gościu źle odzywać o znakach tych honorowych, nie zupełnie podzielał ich zdanie pod względem wagi, jaką do nich przywięzywali. Zagryzł usta, spojrzał na siostrę i szyderski wyraz rozlał mu się

po całem obliczu. Wstał z krzesła, poczynając się przechadzać po saloniku.

— Co to jest niemiecka nasza krew i zdrowa, silna natura germańska — dodał oficer. — Hans chodzi zdrów, jakby nie wziął kąpieli w Szprewie, a tamten nieborak choruje, że się trochę popłukał. Jak to zaraz znać obumierające plemię.

Nikt na to nie odpowiedział i baron obejrzawszy się poczuł, że drugi raz popełnił omyłkę — zagadał więc coś o powtórnie kwitnących jesiennych fiołkach.

Piękna panna odpowiedziała mu, że fiołków nie lubi i że się jej pretensyonalnemi ze swą wyszukaną wydają prostotą. Odwróciła się potem ku bratu.

Baron spojrzał na zegarek, porwał się udając, że spieszyć musi, i z niezmiernem szastaniem nogami cały w ukłonach i łamańcach opuścił salon przeprowadzany przez radzcę i jego syna aż na schody.

Gdy ojciec do saloniku powrócił, córki już w nim nie zastał.

— Wiesz — odezwał się z cicha do żony — zdaje mi się, że Helmina zbyt zimno przyjmuje barona. To źle, — ani go nazbyt ośmielać, ani odpychać należy. Dowiadywałem się o niego... wioska, słyszę, licha i rodzeństwo liczne, ale imię ładne i wojskowa karyera może być świetna. Chłopiec zręczny, oszczędny bardzo, nieposzlakowanych obyczajów, ma przyszłość przed sobą... i baron.

Radczyni powoli podniosła oczy na męża.

— Ale zdaje mi się, że Helmina lepszego czegoś warta... szepnęła.

— Zapewne! ale któż się dziś żeni? — rzekł radzca — zupełnie to wyszło z mody. Szczególniej u arystokracyi, chyba starcy, gdy już młodość do odrobiny wyszafowali.

— E! — podchwycił Hans biorąc się w boki — Helma ma czas poczekać i wybrać. Takiej drugiej tu nie ma. Baronowie się teraz żenią z aktorkami, to dla niej mało księcia.

— Słowo honoru! — dodał Hans — dziewczyna jak malowana i rozumna i bogata! Co mi przy niej taki chudy baron znaczy!

Na tem się skończyło.

W kilka dni potem Wojtuś z talarem w kieszeni przyszedł odwiedzić towarzysza już mającego się znacznie lepiej po przebytej gorączce. — Wolski siedział blady i pokaszlujący nad książkami. Rękę miał zatopioną w bujnych włosach i dumał a z namarszczonego czoła widać było frasunek.

— Widzisz — rzekł po przywitaniu kładząc na stoliku talara — jaki jestem bezprzykładnie słowny. Nie zdumiewasz się, twarz twoja nie promienieje radością, nieczuły człowiecze!

— Ale słuchaj — przerwał nagle — co ci jest? Siedzisz smutny jak noc.

Wolski się zerwał z siedzenia milcząc i po pokoju gwałtownemi krokami chodzić zaczął.

W istocie był tak widocznie skłopotany, przybity, że Wojtuś, który wszedł wesół jakby nigdy garbatym nie był, nagle też zląkłszy się posmutniał. Zbliżył się, wziął go za ręce i natarczywie począł.

— Ale mówże, co ci jest! Komuż się już zwierzysz jeśli nie mnie. Co ci jest? przerażasz mnie.

— Dopiero teraz — wybuchnął Wolski — prawdziwie żałuję, że mnie skorciało Niemca z wody ratować.

— Książki mi zginęły, dykcyonarza jeden tom, na którego kupienie od gęby sobie odejmowałem, najlepszy surdut... jedyne buty... Wszystko to jeszcze mniejszaby było, ale ten kłopot... ten kłopot.

— Jaki? trzy talary zadłużyłeś się gospodyni, wielka mi rzecz — wołał garbus. — Richterowa by ostatnią suknię zdjęła, aby ci usłużyć!

— Nie o to idzie.

— A o cóż u Boga??

— Przyszło im na myśl... zaprosić mnie na wieczór.

— Więc cóż? bo nie rozumiem.

— Tępy jesteś jak stara brzytwa — zawołał Wolski — możesz-że nie rozumieć tego, że na wieczór do radzcy komercyjnege potrzeba mi fraka i całego frakowego garnituru, potrzeba kapelusza, rękawiczek, przyzwoitego paletota, wszystkiego tego, czego nie mam i mieć nie mogę.

Wojtuś popatrzał na towarzysza i rozśmiał się.

— Gdybym był na twojem miejscu, poszedłbym, jak stoję. Pal ich kat! ale tu twoją próżnostka nie pozwala, chcesz wystąpić. Pewnie wiesz już o bardzo pięknej pannie.

— Właśnie mi panna w głowie — wołał Wolski. — Przecież w łachmanach nie idzie się z wizytą. Przyznasz ty, co tak elegancyą lubisz, że nie mogę iść, jak stoję. Znasz całą moją garderobę, boś ją nieraz wyśmiewał.

Wojtuś zaczął papierosa kręcić — dumając niby.

— Nie wiem — rzekł — ale zdaje mi się, że chyba zbytnia aplikacya musiała ci odjąć wszelką umysłu żywość.

Jak można tak nadzwyczaj prostej rzeczy nie domyśleć się... że w mieście jak Berlin na wieczór się występuje świetnie bardzo — choćby nie mając koszuli.

— Jakimże to sposobem?

— Najprostszym w świecie! — zawołał Wojtuś. — Począwszy od fraka najmuje się wszystko.

— Jak to najmuje?

— Tak, jak mówię, idzie się do wynajmującego suknie, który od stóp do głów cię wykierowuje na eleganta a nazajutrz odbiera odzienie. Sądziszże, iż przybywający ze wsi klienci, którzy zmuszeni są do ekscelencyi iść w białych krawatach i czarnych frakach, sprawiają je sobie na jeden wieczór? Zatem proszę cię i bądź o to spokojny, ja wszystko załatwię, żebyś tylko był zdrów.

Wolski się wzdrygnął.

— He! zapewne — odezwał się ponuro — gdy konieczność zmusza, trzeba przejść przez tę próbę. Przyznam ci się jednak, że kłaść choćby najpiękniejszy frak, który już na niewiedzieć czyich spoczywał ramionach, iść w sukni pożyczanej...

— Więc jest jeszcze lepszy sposób... djabłu duszę zapisać i sprawić sobie garnitur z sajety. Trzeciego środka nie widzę.

Gdy te słowa kończył, wesoły głos odezwał się odedrzwi — głośno aż do przestraszenia odezwał się:

— Ja mam trzeci!

Obrócili się zdziwieni, drzwi po cichu otworzone stały szeroko a w nich ładny i zręczny chłopak ubrany jak lalka, — w którym trudno było poznać studenta.

W paliowych świeżych rękawiczkach, z lornetką na wstążce morowej, w paletociku jak ulanym, — ze spicrutą w ręku.

Stał śmiejąc się prawie dziecinnie uradowany i wesoły.

— Deus ex machina! — zawołał Wojtuś. — Co ty tu robisz Ryszardzie?.. ty na trzeciem piętrze... to kompromituje twą elegancyę.

Wolski z nim się witał.

— Ale mi się za Kajciem tęskniło... dziwnie miękko jakoś szepleniąc głosem niemal kobiecym rzekł Ryszard.

Był to student chodzący na prawo.

Z powodu imienia Ryszarda dodawano mu przydomek Lwie Serce, choć serce miał gołębie — a że chodził na prawo nie bardzo regularnie, Wojtuś mówił nań, że chodzi raczej — na lewo... Ryszard był hrabiątkiem z Poznańskiego, młodzieńcem wielkich nadziei sukcesyi i milionów; — ale dobre z niego było chłopię... — tylko niepozornie stratne i lekkomyślne.

Zbliżywszy się do Kajetana — począł go ściskać.

— Jak mnie kochasz... Kaju.. phoszę cię... zaklinam... jesteśmy jednego wzhorstu... ja ci dam, co potrzeba... zobaczysz. Co masz bhać jakieś tam wachmany po chohych Niemcach. Swowo honohu... kiedy cię phoszę!!

— W istocie Ryszard znalazł sposób trzeci, który jest jedynym — dodał żywo Wojtuś — nie ma rady.

— Ale ja ci odzienie paradne zniszczę.

— To je zniszcz... to mi wszystko jedno... phoszę cię... takie guupstwo — wołał ściskając Wolskiego. — Kiedyż ten wieczór! dziś?

— Nie, jutro.

— Dziś będziesz miał gaudeuobę... i zaimponujesz Niemcom — śmiejąc się mówił Ryszard.

— Tak śliczna rzecz — podchwycił Wolski — wnosząc z niej wezmą mnie za majętnego człowieka. To rodzaj kłamstwa.

— A tak! — z udaną powagą bardzo śmieszną lamentująco rzekł Wojtuś — trzeba się nad tem zastanowić! Ma słuszność ten człowiek sumienny... to będzie okropne, szkaradne, nie przebaczone, mogące za sobą pociągnąć straszliwe sumienia wyrzuty — kłamstwo. Biegnę po księdza... casus conscientiae, niech rozwiąże! Potem przy konfesyonale, gdy się przyznasz — Pater! peccavi! poszedłem na wieczór w pożyczonym fraku, ksiądz weźmie za waryata i rozgrzeszenia nie da!

Zaczęli się śmiać, ale Kajetanowi ogromny ciężar spadł z piersi.

— Przyszedłeś tu jak opatrzność — rzekł ściskając mięciuchną dłoń Ryszarda, który był uszczęśliwiony i śmiał się powtarzając. — Zobaczysz jak ja cię wystrychnę.

Rozmowa zwróciła się na inne przedmioty i chwila szybko przeszła. — Ryszard pożegnał Wolskiego, Wojtuś także, rekonwalescent pozostał sam z książkami.

Przed wieczorem paradny służący hrabiego Ryszarda w jeszcze paradniejszem zawinięciu przyniósł dwa pełne ubiory do wyboru, z troskliwością największą aż do najmniejszych szczegółów zebrane.

Wolski wziął pierwszy z brzegu, spróbował tylko, czy na niego wejdzie, a że leżał garnitur wybornie... zasnął spokojny.

Nie był jednak bez trwogi przebudziwszy się, gdy przypomniał sobie, że mu na ten wieczór iść trzeba było odgrywać smutną rolę wybawiciela fetowanego przez rodzinę.

Wszelkiego rodzaju owacye dla ludzi, co mają delikatniejsze uczucia, są ciężką przeprawą. Niejeden przez rózgi by iść może wolał — ale są czasem nieuniknione szczęścia, które przełknąć człowiek musi, choć się niemi dławi.

Wolski jak żyw w towarzystwie niemieckiem nie bywał, choć język umiał dobrze i władał nim wprawnie; domyślał się, że tu obyczaj, mowa, myśli, wszystko być musiało inne jak u nas.

Godziny szły jak na złość z utrapioną szybkością i straszna się owa, której się tak obawiał, zbliżała.

Wzdychając wdział piękny, do zbytku wytworny garnitur Ryszarda, spojrzał w zwierciadło, trudno mu sie poznać było, tak jakoś nie swojo, inaczej, dziwnie sobie samemu wyglądał. Rumieniec okrył mu twarz bladą.

Pomimo szyderstw Wojtusia czuł, że i ubiór kłamstwem być może; czuł, że nie miał mowy ani ruchu stosownego do tego stroju. Było mu w nim obco, cudzo i straszno.

Przypomniał sobie matkę w ubogiej izdebce, w szlafroczku perkalikowym, w białym czepcu, i łza mu się zakręciła w oku.

Biedna matka przestraszyłaby się pewnie, gdyby skromnego, poczciwego swojego Kaja zobaczyła przestrojonego na jakiegoś eleganta. Była chwila, że Wolski chciał zrzucić suknie, zapakować rzeczy i uciec bodaj z Berlina — ale pracował dla matki, dla jej spokojnej przyszłości... i dla niej wszystko znieść musiał, nawet tę upokarzającą maskaradę.

Z westchnieniem więc narzuciwszy palto, wyszedł z izdebki, unikając spotkania z p. Richterową, która go, wnosząc ze stroju, o płochość posądzić mogła.

Udało mu się prześliznąć niepostrzeżonemu i wysunąć na ulicę.

Szedł dalej z bijącem sercem... ale mu się w oczach ćmiło... Strój ten palił go jak ogniem.

Już stał przed drzwiami domu oznaczonego złowrogim numerem trzynastym, miał przed sobą tylko wschody pierwszego piętra... w którego oknach rzęsiste światło przebijało się przez zapuszczone story.

Jak skazany na ciężkę pokutę... poszedł... zadzwonił.

Lokaj w białych rękawiczkach, najęty na ten wieczór umyślnie, aby dać gościowi wspanialsze wyobrażenie o domu pana radzcy komercyjnego, przyjął go głębokim w progu pokłonem.

Tuż z przeciwnych drzwi wybiegł ocalony Hänschen bez godeł burszowskich, we fraku na przyjęcie przybywającego.

Pewne zadziwienie odmalowało się w twarzy studenta, gdy spojrzał na strój wytworny i białe rękawiczki kolegi.

Kajetan wyglądał w tym nie swoim ubiorze tak arystokratycznie pięknym, tak mu było z tą zaniedbaną nieco elegancyą dobrego smaku do twarzy, iż Hans mimo swej młodzieńczej piękności ledwie mu nie pozazdrościł.

Lecz tuż przez pół otwarte drzwi wyglądał radzca komercyjny z obydwoma orderami, nie przez znaki skrócenia wyrażającemi się, ale in naturalibus.

Ogromne dwa krzyże wisiały na cześć gościa w pętlicy jego fraka.

Krawat biały włożył znowu dla tego, że ilekroć brał krzyże wielkie, zawsze im zwykł był ten znak poszanowania towarzyszyć.

Nie wiedział sam, jak ściskany za ręce, mrucząc coś dostał się do salonu.

Niedaleko od drzwi czekała nań w czarnej sukni jedwabnej, wzruszona w istocie pani radzczyni.

Nie mogła się zebrać na długą mowę, ale serdecznie uściskała jego rękę.

W tej chwili Kajo podniósł głowę, czując jeszcze kogoś przed sobą i — osłupiał.

W białej sukni z niebieskiemi wstążkami z rozpuszczonemi na ramiona włosami, trochę blada i zmięszana stała Helmina. Wyciągała ku niemu maleńką dłoń... ale Kajo tak był oślepły jej pięknością, iż chwilę stał prawie nieprzytomny. I panna i cała rodzina widzieć to musiała.

— Pozwól pan, bym i ja za kochanego brata życie podziękowała szlachetnemu wybawcy. Gdybyś pan me własne ocalił... nie byłabym panu wdzięczniejszą.

Głos brzmiał jak muzyka i upajał... Wolski odpowiedzieć nie umiał, ale to jego pomięszanie pewnie mu nie zaszkodziło w oczach panny. Spojrzała nań długo swe niebieskie topiąc w nim oczy, ścisnęła mocno jego rękę i cofnęła się parę kroków.

Towarzystwo składało się z rodziny tylko, do której należał wój samej pani, stary pastor z długiemi siwemi włosami i szeroko zawiązaną chustką białą na szyi — brat radzcy komercyjnego, kupiec, prosty Riebe bez żadnego von i człowiek ubogi, jego córka skromnie a nie-

smaczno ubrana panienka — a — na ostatek kuzynek jakiś, chowający się w kącie.

Wolskiemu i nawyknienia do towarzystwa i przytomności umysłu brakło; ratował go jakiś instynkt, zupełnie jak tonącego człowieka, który już nie myśli, nie rozumuje, lecz chwyta wiedziony potrzebą ocalenia, co mu nastręczy Opatrzność.

Przez chwilę po zajęciu miejsc toczyła się jeszcze rozmowa o przypadku, którego bohaterami byli Hänschen i Wolski.

Nieszczęśliwego Kajetana wszyscy bombardowali tytułem barona, który padał na niego jak kamień.

Dniem wprzódy wypraszał się od tego najusilniej u młodego przyjaciela -- nic to nie pomogło... musiał baronostwo i frak pożyczony znosić razem.

Jedna Helma jakoś umiejętnie unikała tytułu, za co jej prawdziwie był wdzięcznym.

Nie rychło rozmowa z ogólnej zaczęła przechodzić w podzieloną.

Wolski znalazł się na chwilę przy Helminie, która bardzo śmiało i zręcznie pytała go o życie w Berlinie i naukę.

Przez brata dosyć była oswojoną z tymi przynajmniej obyczajami burszowskimi, o których pannie wiedzieć się godzi; zajmowało ją nawet to bujne i rzeźwe rozwijanie się młodzieży puszczające cugle fantazyi i umiejącej podołać razem nauce i zabawie, książce i światu. Zdziwiła się, gdy Kajetan, który wcale innym się (mimo fraka) wydawać nie chciał niż był w istocie, odpowiedział jej, że żył zupełnie odsunięty od wspólnych i tłumnych zabaw młodzieży, nie należąc do żadnej z nacyi uniwersyteckich i pędząc czas w bardzo szczupłem kółku znajomych lub nad swojemi książkami.

Helmina wyraziła swe podziwienie. Z tego tematu wszczęła się rozmowa o młodości i poezyi. I tu dwie istoty z dwóch tak różnych światów — jak niemiecka panna i ubogi polski chłopak znaleźli się z odmiennemi zupełnie wyobrażeniami; ale Kajetan miał tę wyższość nad nią, że niemiecka literatura, życie, pojęcie przyswojone zupełnie obcemi mu nie były, a to, co wyniósł z rodzinnego domu, dopełniało i prostowało jednostronne poglądy germańskie, gdy panna o całym tym słowiańsko-polskim, dzikim — według pojęć ich — świecie — miała zaledwie powierzchowne, mętne i bardzo niedostateczne wyobrażenie. Wolski wydał się jej dziwnie oryginalnym i zajmującym jak studyum nieznanej książki. Helmina była chciwą wiedzy... młodzieniec obudził w niej ciekawość.

Czegoś podobnego nie spotkała jeszcze. Mówił doskonale po niemiecku, ale ideami polskiemi, które czasem jak stal brzęczały, czasem błyskały jak ogniki, czasem przeciągały jak mgły sine, z poza których czarowne migają krajobrazy.

Rozmowa więc stała się niezmiernie ożywioną.

Wmięszał się do niej Hänschen i gwarzyli dosyś wesoło.

Oczy pięknego dziewczęcia jakby akompaniamentem cichej muzyki towarzyszyły słowom. A jak zwykle u młodych bywa... polecieli wszyscy troje pod niebieskie stropy, zaczepiając jak o gwiazdy o najwznioślejsze zadania ludzkości.

Szczęściem dla nich, aby im nie dać zalecieć zbyt daleko, zkąd powrót na ziemię jest trudny — najęty kamerdyner otworzył drzwi jadalnego pokoju i pani radzczyni poprosiła na wieczerzę. Nie wiem, jak się to stało, że Wolskiego posadzono między siostrą i bratem.

Wieczerza wzięta z restauracyi — przynajmniej co do zewnętrznej swej fizyognomii — była wcale wytworną.

Wina stały we flaszkach, których korki ze srebrnemi główkami wyobrażały jakieś fantastyczne istoty.

Na bokach butelek lśniły etykiety chromolitografowane tak przepysznie, iż gdyby Wolski miał cokolwiek doświadczenia, to jednoby mu dowiodło, że — nic nie były warte. — Wszystko razem wzięte udawało przepych pański, nieumiejętnie naśladowany — ale dla Kajetana wydawał on się rzeczywistym i najpierwszej wody.

W pośrodku stołu w dwóch koszykach mocno zużytych, lodem otoczone panoszyły się dwie butelki niemieckiego szampana.

Radzca był uszczęśliwiony, czuł, że baronowi polskiemu swoim rewanżem zaimponował, wprawiało go to w tak dobry humor, że oczy syna musiały ciągle stać na straży ust ojca, ażeby bąka jakiego nie wystrzelił.

Jak się to najczęściej trafia, że gdy człowiek wielce się czego lęka, to właśnie sprawi mu przyjemność, a gdy się czego z upragnieniem spodziewa, trafia na zawód bolesny — wieczór upłynął nieskończenie milej i łatwiej, niżby Kajetan mógł przypuszczać.

Pastor był człowiek oczytany, miły i łagodny — kupcówna skromna ale dobrze wychowana panienka, bursz zwykle zuchwały, w domu rodziców dochodził prawie do ugrzecznienia, a Helmina zachwycającą się wydawała Kajetanowi.

Była zawsze niepospolitą istotą, ale tego dnia jakieś dziwne usposobienie spotęgowało jej wdzięki, dowcip, wszystko, czem ją obdarzyła natura.

Rodzice nawet znajdowali ją niezrównanie świetną.

Nie było to wyszukane, wymuszone, przygotowane umyślnie na pokaz — była mimowoli w tym blasku, płynącym z duszy i niezrozumiałym dla niej samej.

Wolski słuchał jej zachwycony. Była śmiałą, wesołą i potęgą jakąś opanowała ster rozmowy — zaćmiła wszystko, co ją otaczało.

Ojciec był nią dumny, brat podzielał jej tryumfy i dopomagał do nich, reszta rodziny słuchała w milczącym podziwie. Właściwie ona, pastor, Hänschen i Wolski wiedli rozmowę, która coraz się wyżej nastrajała.

Radzca komercyjny sam uznał, że na tak wysoko rozciągnętej linie — dla niego taniec był niebezpieczny, mięszał się więc tylko cichemi uśmiechy i znakami potwierdzającemi.

Wino otworzyło usta jeszcze, rozjaśniło humory, nadało więcej swobody myśli i słowu.

Przy pieczystem radzca komercyjny wniósł toast za zdrowie szlachetnego wybawcy syna i z uczuciem tryumfu oznajmił mu — sądząc, iż nadzwyczajne wywoła wrażenie i wdzięczność — że wysokie ministerstwo, przyczyniając się do prośby jego, raczyło obdarzyć i p. barona von Wolski medalem za uratowanie człowieka do noszenia na wstędze... orderu jakiegoś...

Wolski kłaniając się pobladł i zmięszał niezmiernie, wzięto pomieszanie za wyraz uradowania; radzca komercyjny ubolewał tylko, że pewne formalności nie dozwoliły mu natychmiast wręczyć tej zasłużonej ozdoby młodemu tryumfatorowi...

Nastąpiły serdeczne powinszowania i Wolski uczuł się dopiero teraz należycie skonfundowanym Że jednak miał to być dlań ze wszech miar wieczór szczęśliwy, więc los i długiego trwania tej konfuzyi nie dopuścił. Stało się coś niespodziewanego.

Baron von Liebenthal, którego nie proszono na tę fetę familijną, mający jednak w ogóle wolny wstęp do domu, w wielkim uniformie wracając z zamku wstąpił do państwa von Riebe. Być bardzo może, iż ciekawy był... że niespokojny, że się dnia tego domyślał lub o nim dowiedział.

Z razu radzca spojrzał na żonę zafrasowany nieco, ale tajemniczy znak przez nią dany a oznaczający, iż pieczystego, ciasta i wina dosyć było jeszcze — wnet go uspokoił.

Świetnie teraz wyglądał gwardzista w pełnym mundurze, ordery na piersiach, w ręku hełm połyskujący.

Musiało mu się zdawać, że występował jako zwycięzca bez walki... Veni, vidi — vici... Mundur pełny czynił na nim to wrażenie, że krygując się śmiesznie, w nim rzucał się, trząsł, poruszał na sposób Poliszynella...

Było to coś, co się opisać nie daje — ukłon jakby się łamał, w rozmowie rzucanie rąk, nóg i dźwiganie szlifów na ramionach i potrząsanie piersią i obracanie głową — wszystko to przy sztywnej wyprostowanej postawie — sprawiało wrażenie nieopłacone! Tego wieczora czy był już po militarnym jakim ponczyku, czy tak uszczęśliwiony recepcyą doznaną — czy z siebie zadowolniony — czy zaćmić pragnąc filistrów — baron von Liebenthal grał rolę junkra pomorskiego czy meklemburgskiego jak wirtuoz niedorównany.

Zasiadłszy krzesło wnet oczyma i pytaniami rzucił się na Helminę.

Spojrzał zdala na zaprezentowanego mu Wolskiego jako na małe stworzonko zniknąć mające w jego blasku i puścił się w głośną, dowcipną berlińskim akcentem rozmowę.

Jest to pewnik doświadczeniem wieków stwierdzony, że wchodzący w towarzystwo rozbawione człowiek nowy bardzo rzadko trafia na ton właściwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STRACH.

Po obiedzie wstąpiliśmy na pokład okrętu. Przed nami rozciągało się morze Śródziemne, którego nieruchoma powierzchnia połyskiwała przy świetle księżyca. Wielki okręt posuwał się zwolna naprzód, znacząc drogę długą, czarną wstęgą dymu, unoszącą się ku posianemu gwiazdami niebu, a za nami pieniły się fale morskie i uderzały o śruby okrętu.

Było nas około ośmiu, staliśmy spokojnie i spoglądali w kierunku odległej Afryki, dokąd nasz statek zmierzał. Kapitan okrętu, paląc cygaro, temi słowy podjął przerwaną rozmowę.

„Owego dnia, panowie, poznałem, co to strach. Okręt mój walczył rozpaczliwie z burzą przez siedm godzin. Na szczęście napotkał nas pod wieczór angielski parowiec i udzielił nam schronienia."

Na to przemówił dotychczas milczący, wysoki mężczyzna, poważny, o silnie ogorzałej twarzy.

„Powiadasz kapitanie, że byłeś wtedy w. strachu? Nie wierzę ci. Mylisz się zapewne, tak co do znaczenia wyrazu, jako też pod względem uczucia, którego doznałeś. Mężczyzna energiczny nie doznaje nigdy strachu w obliczu niebezpieczeństwa. Jest wzruszony, przejęty, może zaniepokojony, ale bojaźń, obawa, to zupełnie co innego."

Kapitan powtórzył z uśmiechem: „Na honor, byłem wtedy w strachu". Ale mężczyzna ów z twarzą, gdyby z bronzu wykutą, mówił dalej spokojnie:

„Pozwól, bym ci się bliżej wytłómaczył. Strach, a mogą go zaznać i najodważniejsi — jest coś okropnego, to straszne uczucie, to niejako konanie duszy, paraliż serca i mózgu, na którego samo wspomienie dreszcz nas przejmuje. Ale uczucia tego nie doznaje człowiek odważny w chwili napadu, na widok nieuniknionej śmierci lub jakiegoś znanego niebezpieczeństwa, uczucie to pojawia się u niego wśród niezwykłych okoliczności, wskutek jakichś tajemniczych wpływów i niepojętych, nienaturalnych wydarzeń.

Przebyłem już w życiu wiele niebezpieczeństw i przygód, grożących śmiercią. Walczyłem kilkakrotnie a raz zbójcy zostawili mnie na polu nawpół nieżywego. W Ameryce zasądzono mnie za udział w powstaniu na szubienicę, a na wybrzeżu Chin wpadłem w morze z pokładu wojennego okrętu. I każdym razem miałem się za zgubionego i byłem gotowy na śmierć, bez żalu i bez rozpaczy. Ale to nie bojaźń, to nie strach przecież.

Bajaźni zaznałem po raz pierwszy w Afryce, mimo, że ona jest dzieckiem Północy, a jak mgła roztapia się pod ciepłem promieni słonecznych. Na Wschodzie znają strach paniczny, nie znają bojaźni. Opowiem wam, co mi się wydarzyło w Afryce. Przejeżdżałem konno przez wielkie wydmy piaszczyste na południu Auragli. Jest to niezwykły kraj; olbrzymie wybrzeże wygląda, gdyby ocean piasku o żółtych falach nieruchomych. Piasek wznosi się w pagórkach, nierównych i poszarpanych, a na to martwe morze, na tę smutną milczącą przyrodę rzuca skwarne słońce Południa swój żar palący.

Przez tę pustynię przejeżdżałem w towarzystwie przyjaciela; w naszym orszaku znajdowało się ośmiu spahisów i cztery wielbłądy. Od upału i znużenia już mówić nie mogliśmy. W tem ktoś z naszego orszaku wydał nagły okrzyk, a my wszyscy zatrzymaliśmy się na miejscu pod wpływem niewyjaśnionego zjawiska, które tylko podróżnikom tych okolic jest znanem.

Oto w naszem pobliżu, ale w nieokreślonym kierunku, usłyszeliśmy gdyby uderzenie bębna, tajemniczy ów głos wydm piaszczystych. Uderzenie było wyraźne, to silniejsze, to znów słabsze na chwilę ustawało, a wkrótce znów dawał się słyszeć dźwięk fantastyczny.

Arabowie spoglądali po sobie z przestrachem. Jeden z nich rzekł w swej mowie rodzinnej: „Biada, śmierć zawisła nad nami!" I w tej chwili nagle pochylił się przyjaciel mój, którego jak brata kochałem i padł z konia na ziemię. Żar słoneczny pozbawił go życia.

I gdy przez dwie godziny napróżno starałem się towarzysza mego do życia przywołać, słyszałem wciąż przez ten czas dźwięk tajemniczego bębna, jednostajny i niepojęty, i wtedy to czułem bojaźń, straszliwą bojaźń, w obliczu tych ukochanych zwłok, wzgórz piasku, palonych przez słońce, przy odgłosie tego złowrogiego

echa, w odległości dwustu mil od najbliższej francuskiej osady.

Tego dnia poznałem, co to jest bojaźń; lecz innym razem doświadczyłem jej w wyższym jeszcze stopniu.

W tem miejscu przerwał kapitan opowiadanie, pytając co jest właściwie za odgłos bębna i skąd pochodzi.

— Nie wiem tego — odparł nieznajomy. — Oficerowie, zaskoczeni tym odgłosem, przypisują go echu, które wskutek głębokości wydm piaszczystych staje się niezwykle rozległem i prawie nieskończonem. Możliwe także, że unoszony wiatrem piasek uderza o suchą trawę, tworząc ten odgłos, gdyż zauważono, że zjawisko to pojawia się w pobliżu małych ziół i roślin, wyschłych od słońca, jak pergamin. Byłoby to więc tylko złudzenie, fata morgana słuchu. Ale ja wtedy o tem nie wiedziałem.

Drugi raz zaznałem strachu w następnym wypadku. Zeszłej zimy znajdowałem się w lesistej okolicy północnej Francyi. Niebo było tak przysłonięte chmurami, że noc zapadła o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Wązką dróżyną leśną, wśród sosen wstrząsanych wiatrem, szedłem w towarzystwie chłopa, który mi służył za przewodnika. A ponad wierzchołkami drzew widziałem chmury na nieboskłonie, pędzące tak szybko, jakby przed czem uciekały.

Przewodnik mój spoglądał od czasu do czasu na niebo i szeptał:

— Jakże to smutnie wygląda.

I opowiadał mi potem o ludziach, do których zdążaliśmy. Ojciec rodziny zastrzelił przed dwoma laty kłusownika i od tego czasu żyje w ponurem odosobnieniu wraz z swymi dwoma żonatymi synami.

Wtem noc zapadła ciemna, nie widziałem nic przed sobą, ani obok siebie. Gałęzie drzew potrząsane wichrem szumiały złowrogo w powietrzu.

Wreszcie ujrzałem światło, a wkrótce potem przewodnik mój zapukał do drzwi. Bojaźliwy krzyk kobiecy był odpowiedzią, potem zapytał głos męski: kto tam? Przewodnik mój powiedział swe nazwisko, a gdyśmy weszli, przedstawił się mi widok, którego nigdy nie zapomnę.

Stary człowiek o siwych włosach i błędnem spojrzeniu, z nabitą strzelbą w ręku, oczekiwał nas wewnątrz w kuchni, przy samych zaś drzwiach stało dwóch młodych chłopów, uzbrojonych w maczugi. W ciemnych kątach dostrzegłem dwie kobiety klęczące, z twarzą ku ścianie zwróconą. Po krótkich wyjaśnieniach złożył starzec strzelbę i kazał mię odprowadzić do przeznaczonego mi pokoju. Gdy się jednak kobiety nie ruszyły z miejsca, rzekł nagle:

— Widzisz pan, oto tej nocy przed dwoma laty zastrzeliłem człowieka. Zeszłego roku przyszedł on mnie wołać za sobą i dziś oczekuję go znowu. I dodał dziwnym głosem: Stąd pochodzi ten nasz niepokój.

Starałem się go wedle możności uspokoić, opowiadałem różne dykteryjki i udało mi się prawie przytłumić gwałtowne wzruszenie tych ludzi. Przed kominem spał spokojnie, ułożywszy głowę na łapach, stary, na pół oślepły pies domowy. Na dworze bił wiatr o ściany domostwa i przez małe okienko obok drzwi, widziałem przy świetle błyskawicy drzewa miotane burzą. Mimo mych usiłowań, można było poznać, że ci ludzie nie mogli swej obawy całkiem pokonać i gdy przestałem mówić, słuchali niespokojnie głosów burzy. Znudzony tą śmieszną obawą chciałem się udać na spoczynek, gdy w tem stary leśniczy nagle zerwał się z krzesła, chwycił za strzelbę i głosem obłąkanego zawołał: „Oto on jest, słyszę go!“ Obie kobiety upadły przy ścianie na kolana, a synowie porwali za maczugi. Chciałem ich znów uspokoić, gdy wtem pies stary spojrzał swemi oślepłemi oczyma w ogień i zawył straszliwie, wyciem, które samotnego podróżnego w nocy na odległej drodze przerazić jest zdolne.

Oczy wszystkich zwróciły się na zwierzę, które stało nieruchome na nogach i wciąż drżało, jakby wobec czegoś niewidzialnego, nieznanego. a włos jego jeżył się z przerażenia.

Leśniczy zawołał drząc na całem ciele: „On go poznaje, on był przytem, gdy go zastrzeliłem.“ A do wycia psa przyłączyły się jęki i płacz kobiet. Około godziny wył pies nieruchomie na miejscu, wył jakby przez sen, który go niepokoił i wtedy to ogarnęła mnie poraz wtóry straszna trwoga. Czego się bałem, nie wiem, ale bałem się.

Byliśmy wszyscy przerażeni w oczekiwaniu jakiegoś strasznego wypadku, serce nam biło gwałtownie, a wytężony nasz słuch ogarniał najdrobniejszy szelest. Pies począł biedz dokoła ścian i wył ciągle, doprowadzając nas do szaleństwa.

Przewodnik mój, ogromną trwogą do wściekłości doprowadzony, rzucił się na psa, otworzył drzwi prowadzące na małe podwórze i wyrzucił go na dwór.

Natychmiast zapanowała cisza, ale cisza ta była jeszcze straszniejsza. Nagle porwaliśmy się wszyscy z miejsc; na dworze przesunęło się coś obok muru, potem bliżyło się do drzwi i dotykało ich, jakby drżącą ręką. A potem znów przez

dwie minuty cisza. Teraz zaczęło drapać o ścianę jak dziecko paznokciami.

Naraz pokazała się w okienku biała głowa, z oczyma dziko byłszczącemi i poczęła niewyraźnie i żałośnie jęczeć.

Wtedy rozległ się straszny krzyk w kuchni i odgłos strzału — to stary leśniczy wypalił. Synowie jego rzucili się natychmiast do okienka i zakryli je stołem.

Przysięgam panom, że po tym strzale, na który nie byłem przygotowany, strach mnie tak gwałtowny ogarnął, tak owładnął mem sercem i mózgiem, że myślałem, iż tej chwili nie przeżyję. Siedzieliśmy wszyscy obok siebie aż do rana, niezdolni słowa przemówić, ani z miejsca się ruszyć. Dopiero gdy światło dzienne przez szczeliny ścian do pokoju poczęło wkraczać, odważyliśmy się otworzyć drzwi na dwór.

Obok, przy murze domu leżał stary pies nieżywy, a w głowie tkwiła mu kula.

Wydostał się on tam z podwórza przez otwór, który wydrążył w desce ogrodzenia."

Tu umilkł nieznajomy mężczyzna z twarzą gdyby z bronzu wykutą. Po chwili zaś dodał:

„Owej nocy nie znajdowałem się wprawdzie w żadnem niebezpieczeństwie, ale wolałbym przebyć raz jeszcze owe wszystkie przygody, w których byłem bliskim śmierci, aniżeli przeżyć jeszcze raz tę chwilę, w której padł strzał na białą głowę przez okienko chaty."

Guy de Maupassant.

:: HUMORYSTYKA ::

MIGAWKI.

JÓZEK.

I.

Józek rezydentem.

Bawię obecnie za Lwowem. Wczoraj rano otrzymałem kartkę od dozorcy naszej kamienicy tej treści: „Jelmozne Pane! Proszy Zaraz przyjechadź, bo w meszkaniu panstwa dziejom sie straszne zeczy. Całuji ronczki *Filip Dozorca.*"

Bardzo mię ta kartka zdziwiła, bo wyjeżdżając ze Lwowa, zostawiłem klucz od naszego mieszkania memu kuzynowi Józkowi prosząc go, by od czasu do czasu zaglądał do mieszkania, a raz na tydzień kazał dozorcy wszystko trzepać. Ale znam Józka i wiem, że jest do wszystkiego zdolny.

Zadepeszowałem więc do kuzyna, prosząc go, by mnie oczekiwał na dworcu z kluczem od mego mieszkania, a sam wybrałem się bezzwłocznie do Lwowa. Żona kazała mi „nagadać" Józkowi już zaraz na dworcu i bardzo żałowała, że nie może sama pojechać, aby mu uszy nakręcić.

Przyjechałem do Lwowa, obszukałem cały dworzec — Józka nie było. Pomyślałem, że albo nie otrzymał mojej depeszy, albo się szelma kryje. Nie zostawało mi nic innego, jak jechać do miasta i szukać Józka.

Józka szuka się w kawiarniach, mianowicie we wszystkich, bo wszędzie bywa. Przez dwie godziny uganiałem się po naszych kawiarniach i wszędzie mówiono mi, że „pan doktor był przed chwilą, ale poszedł". Pomyślałem, że może go znajdę w jego mieszkaniu, ale mi tam powiedział dozorca, że „pan doktor od tygodnia nie był w domu". Idę więc do mego mieszkania, aby bodaj od Filipa dowiedzieć się, co się dzieje. Dozorca rozkrzyżował ręce;

— Panie — powiada — ja nic nie znam, naj pan idzie i sam się popatrzy. Przed chwilą młody pan doktor dał mi klucz od mieszkania, taj mówi, że jakby się pan pytali, gdzie on jest, aby powiedzieć, że on wczoraj umarł.

Odebrałem klucz i udałem się do mego mieszkania. Straszny widok przedstawił się moim oczom. Wszedłem do przedpokoju.

Cały przedpokój zabarykadowany krzesłami i fotelami: kilkanaście krzeseł i foteli jedno na drugim aż pod sam sufit. Co to miało za cel? Zacząłem ostrożnie rozbierać barykady i wystawiać krzesła na kurytarz, aby się módz przedostać do pierwszego pokoju, do naszej jadalni. Pracowałem kilkanaście minut, zanim udało mi się przejść do pierwszego pokoju. Ten pokój wyglądał jeszcze bardziej zagadkowo. Znikł gdzieś stół, który stał w środku, a pod ścianami były ustawione fotele i kanapki, niby w szkole tańców. Na posadzce porozrzucane rozmaite kawałki garderoby wszystkich trzech rodzajów, najwięcej damskiej. Również znikła gdzieś lampa, która przedtem wisiała nad stołem, a w jej miejscu wisiał gruby sznur konopiany, jakby z niego dopiero co odcięto wisielca Wytrzeszczyłem na to wszystko oczy i nie rozumiałem, jaki był cel tego urządzenia. Ale idę dalej.

W następnym pokoju „miły nieład“. Na biurku założonem papierami i książkami pełna miednica, obok niej ręcznik, mydło, szczoteczka i opaska do wąsów, szczoteczka do zębów i jakiś proszek. Na fortepianie pościel, niby na łóżku. Widocznie ktoś spał na fortepianie. Tak samo zaimprowizowane łóżka na otomance i pod trzema ścianami na podłodze. A więc pięć osób tu spać musiało. Pod fortepianem kilkadziesiąt próżnych butelek i kilka syfonów. Z pod wieka fortepianu wystaje rękaw koszuli nocnej.

Otwieram wieko i znajduję w pudle fortepianowem cały skład brudnej bielizny męskiej. U okien story zdarte, okna przesłonięte dywanami. Na podłodze kilka tysięcy niedopalonych papierosów, kilka skarpetek, brzytwa i pędzel do mydlenia. Na środku stoi wanna z wodą, po wodzie pływają skrypta prawnicze, nierozcięty tomik poezyi i jakieś świadectwa szkolne.

Chcę wejść do trzeciego pokoju, ale zamknięty Pokój ten, stanowiący naszą sypialnię, ma osobne drzwi do kurytarza, ale i te drzwi są zamknięte Wołam stróża.

Co tu się działo? Czemu tu takie ładne porządki?

— Pane — powiada stróż — ja nic nie znam, ten młody pan doktor mówił, co on jest teraz rezydentem od tego meszkania i robił różne figle.

— Powiedzcie mi naprzód, ile osób tu spało?

— E, dużo, dużo. Przedwczoraj był nawet cały bal. Przysło dużo panów i parę panienek gdzieś z Coloseum, czy z cyrku, taj przysłali mnie i żonę po piwo i po inne rzeczy do jedzenia, taj picia i dwóch muzykantów było, a potem zaczęli tańcować i śpiewać, to aż mnie gospodarz posłał powiedzieć, żeby było cicho, bo wymówi mieszkanie. A oni na to w śmiech, taj wiwat krzyczeli, taj tak do samego rania. Jedna panna kazała sobi zrobić taki huśtawki na suficie, bo już takoj była pijana, to zdjęli lampę i zrobili huśtawkę, a ona pokazywała sztuki i rzucała flaszkami. Potem się rozeszli w piątej rano, a potem wrócili aż wieczór ale już sami panowie bez panienek i dzisiaj spało u nas dziesięć panów, po dwa na jednem miejscu — ja sam im pościelił...

— A czemu ostatni pokój zamknięty?

— E, bo pan doktor ten pokój wynajął jakiejś młodej parze i to nawet bardzo tanio. Wystawił kartkę i wynajął im ten pokój aż na cztery misiące za 40 reńskich z meblami, żeby tylko z góry zapłacili i oni mu zapłacili i tu już mieszkają.

— Zwaryował?! Przecież my wracamy za parę tygodni!

— A ja nie wim — Pan doktor mówił, że pan jego zrobił rezydentem od tego mieszkania, to on ma prawo wynająć, nawet mówił, że go pan sam prosił, żeby wynajął, jak się ktoś trafi.

— Ależ to nasza sypialnia, gdzież my spać będziemy?

— Nic nie wiem.

Szczęście Józka, żem go wtedy nie miał pod ręką, bo byłbym go udusił.

— Mój Filipie — powiadam przeproście pana gospodarza w mojem imieniu i powiedzcie mu, że to się już nie powtórzy. A wy wyszukajcie mi prędko tego pana doktora.

— Gdzie tam, panie, jego niema we Lwowie, dziś rano dostał jakiś telegram, i mówił, że musi wyjechać do Krakowa. To naprzód zawołał handełesów i tanio wysprzedał pańskie ubrania, a jakieś nowe sam ubrał — mnie oddał klucz i kazał panu powiedzieć, że on umarł.

Klewe.

Nad Wartą.

— Antek?

— A co co?

— Wisz ty, o czem ja myślę?

— Niech mnie gęś kopnie, że nie wiem.

— Ja myślę, że ta Warta to całkiem jak nasze jaśnie państwo.

— Nie gadaj?

— A no, bo jak tylko słońce trochę zaświeci, zaraz ci rusza Warta za granicę.

Jeżeli...

Pani bankierowa udaje się do znanego portrecisty z prośbą o wykonanie jej portretu.

— Ile to będzie kosztowało? — pyta nareszcie.

— Trzysta rubli.

— A gdybym chciała mieć przy sobie swego najmłodszego synka?

— O sto rubli więcej.

Pani bankierowa się krzywi i dodaje:

— A jeżelibym go trzymała na kolankach?

Dziecko wieku.

— O pani, oddaj mi swoją rękę, a po ślubie będę cię nosił na rękach!

— Co to za zabawa! Wolałabym jeździć na gumach!...



Tylko dobry

gramofon

może w kółku domowem sprawić wielką przyjemność i zupełnie zastąpić wszelkie instrumenty. — Ponieważ posiadam

gramofony

li tylko z pierwszorzędnych fabryk i sprzedaję takowe po cenach oryginalnych fabrycznych, mogę je zatem Szanownej Publiczności najsumienniej polecić. Proszę się osobiście przekonać, **bez przymusu kupna!**

Płyty do gramofonów

zupełnie czysto i wyraźnie grające, z dwóch stron ograne już od 2,00 mk. począwszy.

Fonografy i wałki w wielkim wyborze

„Camera" Z. Śniegocki

Pierwszy specyalny skład gramofonów i aparatów fotograficznych.

Reparacye gramofonów tanio i dobrze!

Obszerne katalogi z ilustracyami na życzenie darmo w dom.

Podróże zbiorowe: **Programy bezpłatnie.**

Riwiera: Medyolan — Genua — San Remo — Mentona — Monte Carlo — Nicea — Cannes. Odjazd 1-go lutego. Cena 400 marek. 13 dni w podróży.

Włochy: Południowa Francya — Riwiera — Całe Włochy — Sycylia. Cena 780 mk. — 30 dni. Odjazd 18 lutego.

Algier — Tunis — Biskra (Sahara). Odjazd 7 marca. **Hiszpania.** Odjazd 5 kwietnia. **Morze Śródziemne,** Ateny, Konstantynopol. Odjazd 6 kwietnia.

Biuro podróżn. J. Wierzbicki & Sp. München, Dachauerstr. 4

Co dopiero wyszła w 3-ciem wydaniu znakomita książka kucharska

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież śpiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur. — Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny, str. 360. Cena bez oprawy 2,20 mk., z opr. 3.00, porto 20 fen. Należytość uprasza się nadsyłać naprzód przekazem do

Księgarni Katolickiej, Poznań, ulica Jezuicka 5.

Uwaga: Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte na własnem, długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania. — Można zamawiać także i za zaliczką pocztową.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Dr. med. Antoni Szac,

lekarz specj. w chorobach kobiecych i położnictwie

były pierwszy asystent tajnego radcy profesora dr. Ehlersa i profesora dr. Krukenberga w Brunświku i były asystent prof. dr. Strassmanna w Berlinie,

mieszka **w Berlinie W.,**

Bayreutherstr. 32, wysoki part.

tuż przy Wittenbergsplatz.

Ważne dla podróżujących!

Osobom przybywającym na czas dłuższy lub krótszy do Berlina pozwalam sobie polecić **pokoje** wygodnie urządzone, świeżo odnowione po cenie przystępnej. Dobra polska usługa, na życzenie całkowite utrzymanie. Kuchnia zdrowa i smaczna, dla chorych z zastosowaniem przepisów lekarza.

Ludwika Biedermann,

Berlin, Dessauerstr. 35, II.

4 minuty od Poczdamskiego placu i Lipskiej ulicy.



Arystokratyna

mydło, krem, puder,
proszek do mycia

fabryki perfum i kosmetyków

aptekarza

Z. Rittera Następcy

Poznań O. 1

są podług obecnego stanu wiedzy niezbędne do pielęgnowania płci.

Złoty medal Lwów 1908 | **Złoty medal Poznań 1907**

Do nabycia wszędzie.

Redaktor odp. na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.". — Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odp. Józef Zieliński w Poznaniu.